



**Przysięgając
na postkomunistyczną
konstytucję,
krzywoprzysięzca Duda
wezwał Boga na swego
pomocnika.
Ten kazał Łapińskiemu
zastąpić siebie.**



DZIENNIK COTYGODNIOWY

**Ziobro
bez klamek
str. 3**

**Spuścizna
Lecha
Kaczyńskiego
str. 5**

Wymyślona inwigilacja.

PiS kłapie i kłamie

ANDRZEJ SIKORSKI

Skandal! Wszystko wskazuje na to, że wykryta przez PiS afera inwigilacyjna, która miała pograżyć Donalda Tuska i Ewę Kopacz oraz podległych im szefów służb specjalnych, okazała się prowokacją skrojoną na zamówienie polityczne przez niedoszłego przestępcę.

Wystąpienie

11 maja 2016 r. pisowska władza urządziła w Sejmie igrzyska dla ciemnego ludu, ujawniając rzekome zbrodnie, jakich dopuścił się rząd PO-PSL. Swoje 5 minut miał koordynator służb specjalnych Mariusz Kamiński. W pełnym emocji wystąpieniu oskarżył Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego (ABW) o to, że prowadziła działania operacyjno-rozpoznawcze wobec opozycji.

Inwigilowano uczestników pisowsko-radiomaryjnego marszu „Obudź się, Polsko”, zgromadzeń patriotycznych z okazji Narodowego Dnia Żołnierzy Wyklętych, poświęconych żołnierzom Narodowych Sił Zbrojnych, obrońców krzyża na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, blogerów niezależnego forum internetowego „Salon 24”, członków Związku Strzeleckiego „Strzelec”, środowisko antyaborcyjne, 52 dziennikarzy, a nawet byłe kierownictwo CBA, w tym Kamińskiego. Przestępcze działania miały być prowadzone na osobiste polecenie szefa ABW Krzysztofa Bondaryka.

Koordynator służb specjalnych oświadczył, że do prokuratury złożono 19 zawiadomień o podejrzeniu popełnienia przestępstwa.

Podejrzenia

Wystąpienie Kamińskiego wywołało ogólnonarodową histerię i lawinę podejrzeń. Prawie każdy, kto miał na pieńku z Platformą, twierdził, że był inwigilowany. Główną ofiarą represji ogłosiło się (sic!) środowisko Strefy Wolnego Słowa, czyli pisowskie propagandyści związani z „Gazetą Polską”, „Gazetą Polską Codziennie” i portalem Niezależna.pl.

Rozpracowywanych miało być kilkadziesiąt osób, m.in. Tomasz Sakiewicz, Anita Gargas, Katarzyna Gójska-Hejke, a także były premier Jan Olszewski, Antoni Macierewicz i pracownicy jego biura poselskiego, obecny wiceszef MSZ Jan Dziedzicak, były wiceminister obrony Romuald Szeremietiew, poseł Marek Suski

i jego współpracownicy, agent Tomek, obecny szef SKW Piotr Bączek, Grzegorz Braun, pracownicy Kancelarii Prezydenta RP za czasów Lecha Kaczyńskiego, pracownicy IPN i pisowskiej spółki Srebrna, a nawet adwokaci Sławomir Sawicki i Lew Mirski. Wszyscy oni mieli być na celowniku Służby Kontrwywiadu Wojskowego (SKW).

Śledztwo

Tydzień po wystąpieniu Kamińskiego w Sejmie portal Niezależna.pl obwieścił: „Są już pierwsze zagraniczne echa afery. Na sygnały o łamaniu podstawowych standardów demokratycznych zareagowała m.in. Organizacja Freedom House z siedzibą w Stanach Zjednoczonych, która oświadczyła, że przyjmuje z dużą powagą jakiegokolwiek sygnały o inwigilacji niezależnych dziennikarzy”.

W biuletynie propagandowym PiS „Gazecie Polskiej” Prokurator Krajowy Bogdan Święczkowski zapowiedział: „**Będzie prowadzone szeroko zakrojone śledztwo w zakresie m.in. inwigilowania mediów. Do tego została już wyznaczona odpowiednia prokuratura. Ze złożonych zawiadomień wynika, że inwigilowano środowisko obrońców krzyża, a także byłe kierownictwo CBA i ABW, w tym również mnie. W tych wątkach śledztwa będą podzielone między grupy prokuratorów. Materiał ten bardzo jasno pokazuje możliwe patologie i nadużycia poprzedniej władzy**”.

Aby nie było wątpliwości, że winni zbrodni przeciwko suwerenowi będą surowo ukarani, „Gazeta Polska Codziennie” przytoczyła wypowiedź Kaczyńskiego, który stwierdził: „**Atak na Strefę Wolnego Słowa prowadzony jest już od dawna różnymi metodami. To klasyczny dowód na to jak słaba była w Polsce demokracja, jak słabo stały kwestie wolności słowa. Tylko że wtedy w Polsce, w Europie ani w Stanach Zjednoczonych nikt się tym nie chciał zajmować. Teraz się tym zajmujemy i wyciągniemy wszystkie wnioski**”.

Cisza

Nieprawdopodobne, ale minął rok od ujawnienia przestępstw, nikogo już bulwersująca sprawa nie interesuje, a ci, co najgłośniej krzyczeli o łamaniu demokracji, siedzą cicho. Sprawdzi-

łem, jak przebiega zapowiedziane śledztwo i czy winni zostali ukarani.

Rzeczniczka Prokuratury Krajowej Ewa Bialik nie odpowiedziała na przesłane pytania, tylko odesłała mnie do Prokuratury Regionalnej we Wrocławiu. Tam niczego się nie dowiedziałem, gdyż śledztwo (nie wiadomo nawet, czego dotyczy) jest ściśle tajne. Od prokurator Anny Zimoląg usłyszałem jedynie, że „**przedmiotem śledztwa nie są działania nakierowane na szefów ABW, CBA ani Prokuratora Krajowego**”.

Zadzwońiłem do prokurator Bialik, która była bardzo zdziwiona. Poprosiła, abym przesłał pytania mailem. Po raz kolejny zapytałem: Która prokuratura zajmuje się śledztwem w sprawie inwigilacji? Czego konkretnie dotyczyły zawiadomienia? Ile osób zostało pokrzywdzonych? Czy pokrzywdzonym jest prokurator Święczkowski? Na jakim etapie jest prowadzone postępowanie? Czy postawiono komuś zarzuty? Jeśli tak, to komu?

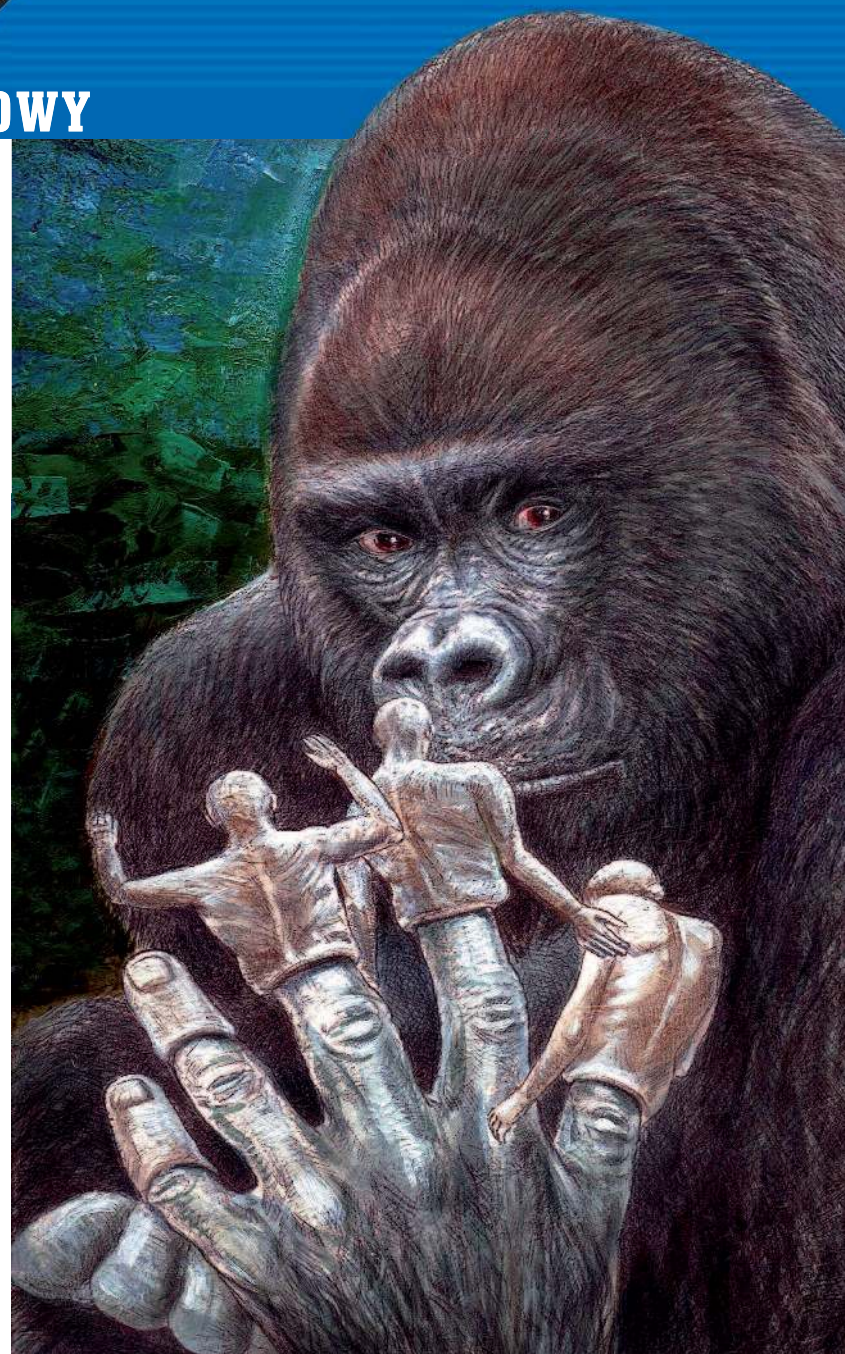
Prokurator Bialik nie odpowiedziała...

Lekceważenie

Rzecznik Praw Obywatelskich, poruszony skalą przestępstw poprzedniej władzy, obiecał Polakom, że będzie monitorował sprawę. Już następnego dnia po sejmowym wystąpieniu Kamińskiego Adam Bodnar poprosił koordynatora służb specjalnych, aby ten przesłał mu szczegółowe informacje dotyczące inwigilacji – w tym kopie 19 zawiadomień do prokuratury.

Rzecznik niczego jednak nie otrzymał, gdyż, jak stwierdził zastępca Kamińskiego Maciej Wąsik, przemówienie wygłoszone „**przed Sejmem RP zawiera wszelkie informacje, które mogły zostać przekazane w tej sprawie**”, a poza tym wszystko jest tajne (sic!). Wąsik poradził Bodnarowi, żeby zwrócił się do Prokuratury Krajowej, gdzie trafiły zawiadomienia.

– Rzecznik zwrócił się 1 czerwca 2016 r. do Prokuratora Krajowego Bogdana Święczkowskiego o przekazanie kopii 19 zawiadomień wraz z ewentualnymi załącznikami oraz o poinformowanie o biegu nadanym poszczególnym z nich. Również w tym piśmie rzecznik wskazał, że w przypadku, gdyby powyższe informacje i dokumenty były objęte ochroną wynikającą z ustawy o ochronie in-



Fys. MARCIN BONDAROWICZ

formacji niejawnych, nadesłanie ich powinno nastąpić za pośrednictwem kancelarii tajnej. Na pismo to rzecznik nie otrzymał odpowiedzi, pomimo ponowienia prośby 10 listopada 2016 r. – poinformowała „NIE” Justyna Zarecka z Biura Rzecznika Praw Obywatelskich.

Będąc lekceważonym przez Święczkowskiego, Bodnar zwrócił się 4 stycznia 2017 r. bezpośrednio do Zbigniewa Ziobry, aby ten odpowiedział na wysłane pisma. Zamiast od Prokuratora Generalnego, przyszedł kwit (datowany 8 lutego 2017 r.) od Przemysława Funioka, dyrektora Biura Prezydialnego Prokuratury Krajowej. Funiok zakomunikował, że zawiadomienia, które wpłynęły do Prokuratury Krajowej, zostały przekazane do innych prokurator i nie dysponuje materiałami żadnej ze spraw.

Niezrażony chamskim traktowaniem Bodnar wysłał 8 marca 2017 r. kolejne pismo do Ziobry. „**Zwracam się ponownie do Pana Ministra z uprzejmą prośbą o (...) poinformowanie mnie, do jakich prokuratur regionalnych lub wydziałów zamiejscowych Departamentu do spraw Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji przekazane zostały wszystkie wskazane wyżej zawiadomienia oraz**

jakie sygnatury zostały nadane postępowaniom w tych sprawach w poszczególnych jednostkach” – napisał rzecznik.

Odpowiedzi nie dostał.

Insynuacje

Zachowanie Ziobry, Kamińskiego i Święczkowskiego, którzy nie chcą udostępnić nawet podstawowych informacji dotyczących prowadzonego śledztwa, jest skandaliczne. Mamy do czynienia z butą i arogancją typową dla pisowskiej władzy, która najpierw ogłasza „porażającą aferę”, a gdy słyszy „sprawdzam” i ma wyłożyć karty na stół, rżnie głupa, udając, że o niczym nie wie, albo zasłania się klauzulą tajności.

Istnieje jeszcze jedna możliwość. Potwierdziłem ją w dwóch niezależnych źródłach.

Nie ma i nie było żadnej afery inwigilacyjnej, a rzucane z mównicy sejmowej oskarżenia i insynuacje były prowokacją mającą na celu wzburzenie opinii publicznej i rozpętanie nagonki na przeciwników politycznych obecnej władzy.

Dokończenie na str. 3



Sam tego chciałeś, Grzegorzu Schetyno

» Zwalczanie przemocy domowej, ochrona praw mniejszości, dostęp do legalnej aborcji, pluralizm mediów oraz najwyższe standardy ochrony praw człowieka – jako oazę praworządności polski rząd przedstawił Polskę w raporcie przekazanym Radzie Praw Człowieka ONZ. Ksenofobia, rasizm, homofobia, ograniczanie niezależności sądów i praw kobiet – a tak charakteryzują Polskę inne kraje ONZ. Nawet Watykan zarzucił Polsce nieludzki stosunek do uchodźców... Polska pliszka swój ogonek chwali, a świat mówi, że to nie pliszka, tylko sęp.

» Nie sęp, lecz gospodarczy orzeł – mówi premier Szydło, chwając się tym, że złoty jest w tym roku najsilniejszą walutą w Europie, a stopa bezrobocia spadła do 7,7 proc. i jest najniższa od 26 lat. Rosnąca liczba miejsc pracy, wyższe zarobki i znikająca bieda za sprawą „500 plus” – to jest miara wolności, a nie mrzonki o niezawisłości sędziów – mówiła Szydło, powtarzając to za Kaczyńskim, który w podobnym tonie zwrócił się do uczestników zorganizowanego przez Platformę Marszu Wolności.

» Tradycyjnie nie wiadomo, ilu tych uczestników było. Bardzo dużo, może nawet 90 tysięcy – stwierdziły platformiane władze Warszawy. Mało, najwyżej 12 tysięcy – orzekła Błaszczakowa policja. Mniej niż szło w naszych marszach – powiedział Mateusz Kijowski, jeszcze lider jeszcze istniejącego Komitetu Obrony Demokracji. Wystarczająco dużo, żeby Kaczyński się przestraszył – stroszyli piórka politycy PO, PSL i Nowoczesnej.

» Lider PO Schetyna wezwał pisowski rząd do debaty. Szydło odparowała, żeby Platforma najpierw odpowiedziała na 4 proste pytania: o podwyższenie wieku emerytalnego, o ograniczenie lub zlikwidowanie „500 plus”, o likwidację CBA i IPN oraz o przyjmowanie uchodźców. Politycy PO zachowywali się jak żurawie na grząskim gruncie – odpowiadali ostrożnie i niejednoznacznie. Tylko Schetyna nie wytrzymał i palnął, że jest przeciwko przyjmowaniu uchodźców, a później niemądrze się tłumaczył, że miał na myśli emigrantów ekonomicznych.

» Rzeczniczka PiS Mazurek zagadkała, że partia rządząca gotowa jest debatować z PO, lecz dopiero po tym, jak Schetyna przeprosi za totalną opozycję. Schetyna pokręcił głową jak puchacz i odrzekł, że nie ma za co przeproszać.

» Ministerstwo Obrony Narodowej umożliwiło posłom PO wgląd w dokumentację dotyczącą przetargu na caracale. Skandal i afera! – zawołały jastrzębie opozycji, po tym gdy w dwie godziny przeczytały 10 tys. stron dokumentów. – Na przetarg mieli wpływ Berczyński, Misiewicz i Nowaczyk, chociaż nie mieli do tego uprawnień. Platforma postawiła Ziobrze ultimatum: jeśli prokuratura nie wyjaśni tej sprawy z urzędu, to PO zawiadomi prokuraturę o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez Macierewicza. Na co MON postraszyło przedstawicieli Platformy, że jeżeli to zrobią, to prokuratura oskarży ich o składanie fałszywego zawiadomienia o przestępstwie, którego nie było. Platforma odparła, że nie da się zadziobać.

» Prezydent Duda zapowiedział referendum, w którym suweren miałby się wypowiedzieć o konieczności uchwalenia nowej konstytucji. „Pytań mogłoby być dziesięć, najwyżej kilkanaście...” – powiedział sprytny jak jarząbek Duda, podając przykład jednego pytania: Czy jesteś za wzmocnieniem władzy prezydenta? Pomysł wyśmiała opozycja, proponując prezydentowi, żeby najpierw przestrzegał obowiązującej konstytucji, a dopiero potem marzył o nowej. Entuzjazmu nie okazało także PiS, zarzucając Dudzie papugowanie pomysłu prezesa Kaczyńskiego, który obecną konstytucję już dawno nazwał postkomunistyczną.

» Być może z powodu tego referendum, a być może przez nie dość donośne nagłośnieństwo wizyty Dudy w Meksyku, z orlego prezydenckiego gniazda wyleciał rzecznik prasowy Marek Magierowski. Zastąpił go – ale w wyższej randze ministra – pisowski spec od marketingu politycznego poseł Krzysztof Łapiński. Eksperti od reklamy mówią wprawdzie, że motloch wszystko kupi, byle w ładnym opakowaniu, ale z próżnego i Łapiński nie należy, Duda powinien więc zapomnieć o reelekcji.

» Rada Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego przyjęła uchwałę, w której zjechała forsowaną przez rząd reformę sądownictwa. Zmiany w ustawach o Krajowej Radzie Sądownictwa oraz o ustroju sądów powszechnych prawnicy z Krakowa uznali za „niekonstytucyjne” i „budzące poważne wątpliwości co do zgodności z konstytucją”, mając nadzieję, że absolwenci prawa UJ – Ziobro i Duda – się opamiętają. Och, ci uczeni... Niby tacy mądrzy, a naiwni jak głuptaki.

Pierwszy cykl „Ucha prezesa”, jak suwerenowi wiadomo, kończy się tym, że Duda postanawia wdrzeć się na chłama do niedostępnego dla niego gabinetu Kaczyńskiego. U drzwi waha się i tu film się nam urywa. Widzowie mają dalej żyć, nie wiedząc, czy się odważył wślizgnąć. Natychmiast realne życie polityczne przerwało naszą niepewność. Duda nie wszedł! Projekt referendum konstytucyjnego prezydent wydał z siebie bez zgody Kaczyńskiego, w spontanicznym ataku krasomówstwa. Wiemy to z reakcji Kaczyńskiego i otaczających go mówiących instrumentów jego władzy. Głowę państwa olano, moc wsiąknął w ziemię naszych przodków.

Można by referendalny wyskok uznać za epizod bez znaczenia, gdyby nie to, że opozycji posłużył on do pokazania głupoty politycznej. Otóż uznała Dudę za osobistość znaczącą i hałaśliwie sprzeciwiła się ona referendum wystrzelonemu kulą w płot. Zapewne Grzegorz Schetyna miał w oczach taki obraz: w knajpie rodak żre sobie golonkę. Podchodzi kelnerka i proponuje: – Zamienić panu na lepszą? – Oczywiście! – cieszy się suweren. Poczem PiS wygrywa takie właśnie referendum i twierdzi, że ma zgodę narodu na wszystko, co prezesowi wpadnie do głowy. Opozycja jednakże wykrzykiwała sprzeciw na przekór własnym interesom.

Po pierwsze, naród kocha, jak go władza pyta o cokolwiek, co nie znaczy, że potem będzie odpowiadać. Kto nie chce referendum, jest dla społeczeństwa wrogiem demokracji, nie chce słuchać narodu. Włożenie takiego kostiumu przez antypisowców wzmacnia obóz władzy.

Po drugie, obóz rządzący ma marny sezon i zaczyna się spać pod każdym względem. Można zakładać, że za rok ta degrengolada pogłębi się i rozszerzy. Jeśli PiS przegrałoby referendum, straciłoby polityczny mandat do rządzenia. Żeby zachować władzę, musiałoby ją ktoś zareagować na to, że suweren pokazał mu gołą dupę. Czy przyspieszyłoby wybory parlamentarne, np. łącząc je z samorządowymi? Wątpliwe. Połączenie spotęgowałoby możliwość przegranej. Urządzić jakąś prowokację i na jej tle zrobić zamach stanu wzorem Erdoğana? Mrzonki. Macierewicz za rok nie będzie miał w ręku armii gotowej poprzeć pucz. Bojówki obrony terytorialnej nie zostaną zaś tak przez rok rozwinieć, żeby rozstrzygać w siłowych zmaganiach.

Istnieją więc, proszę opozycji, szanse, że PiS tak potknęłoby się o referendum i jego skutki, że wskutek biegu wypadków straciłoby nie tylko władzę, ale także znaczenie. Suweren chce mieć spokój i stabilizację, a nie awantury nad głową, a w niej niepewność, co się zdarzy.

Po trzecie, istnieje możliwość, że za zmianą konstytucji, nie wiadomo na jaką, w referendum padłoby więcej głosów za niż przeciw. Prędzej jednak już nie kaktus, ale Puszczą Białowieską wyrośnie mi na dłoni, niż poszłoby głosować więcej niż połowa uprawnionych.

Nawet więc wygrane przez Dudę referendum nie byłoby wiążące, osłabiając przez to mandat kaczystów do rządzenia. Mówię to z własnego doświadczenia, bo ekipa Jaruzelskiego potknęła się tak właśnie na referendum w sprawie reform gospodarczych.

Upuszczenie krwi Kaczyńskiemu, który by przegrał referendum, zdynamizowałoby walkę polityczną w kierunku niekorzystnym dla PiS. Na każdym rodzaju swych posunięć ta partia musiałaby przegrywać. Jeśli częściowo wycofałaby się z rozbójnictwa w dziedzinie prawa, sądów, samorządów, mediów, organizacji pozarządowych itd., uznana byłaby przez własne zaplecze i kler za formację słabnącą, nękaną wewnętrznymi sporami i podziałami. Rozczarowany aktyw wszcząłby wrzask. Poszukiwacze posad lub awansów zaczęliby odchodzić głodni i bez nadziei na nasycenie się. Jeżeli zaś Kaczyński, przeciwnie, dałby rozkaz do ofensywnego zajmowania państwa i uciszania przeciwników, przegrywałby kolejne bitwy w wojnie z tutejszym społeczeństwem i całym światem z wyjątkiem Meksyku i Etiopii, z którymi sprzymierzył nas Duda. Tak to więc nie opozycja, ale władza bać się powinna referendum, bo przegra w jego następstwach. Cokolwiek uczyni lub czeokolwiek nie zrobi, pogłębi samozłażanie obozu PiS, który strzela sobie w kolana, już i tak osłabione kłęczeniem na nabożeństwach. W tym sporcie mistrzem jest Duda.

Niezlomny jak scyzoryk prezydent, jednocząc suwerena pod flagą białą-czerwoną, podzielił go na mierzwę – dzieci i wnuków komunistów – i sól ziemi, czyli potomków „żołnierzy wyklętych”. Wielki genetyk operuje małym rozumkiem. Zapomniał, że jego własna reelekcja na drugą kadencję marionetkowania wymaga pozyskania większości głosów. Tymczasem potomków antykomunistycznego podziemia może być najwyżej 100 tysięcy. Czerwoni zdrajcy byli zaś liczni i mieli o wiele więcej czasu na rozmnażanie się. Zostawiliśmy po sobie miliony potomków. Mało jednak, że Dudzie nie opłaca się różnicowanie genów obywateli na czarne i czerwone, to jest ono trudne do przeprowadzenia w praktyce. Np. ja jestem wnukiem kapitalisty krwiopijcy, którego klasa robotnicza wywozła na taczkach z jego fabryki. A moja matka stała wtedy w oknie i śpiewała „Międzynarodówkę”, ciesząc się z podróży ojca pojazdem niemechanicznym. Pieśni tej nauczyła ją zaś matka z rodu rosyjskich rewolucjonistów. W Polsce politycznie czyste rodowody są rzadsze nawet od czystych rak.

W swojej słynnej wypowiedzi Jarosław Kaczyński podzielił poddanych na potomków AK i gestapo. W czasach mojego dzieciństwa obie te instytucje były żwawe. AK mnie rozśmieszało przez swe obrzędy i bezradność. Natomiast gestapo traktowałem bardzo poważnie. Raczej więc jestem potomkiem tajnej policji państwowej III Rzeszy, chociaż z drugiej strony niedostatkowi w pracy tej instytucji zawdzięczam życie.

Andrzej Duda jest antykomunistą i postkomunistą w jednym. Postkomunistą, gdyż został wybrany z mocy przepisów konstytucji, którą Kaczyński określa jako postkomunistyczną, i przysięgał, że będzie przestrzegał owego postkomunistycznego gówna. Jego antykomunizm przejawia się zaś w krzywoprzysięstwie, czyli łamaniu tego, czemu miał być wierny, przyjmując Boga za pomocnika.

Jak wiadomo z ogłaszanych i potem chowanych projektów konstytucji pisanych przez PiS, wabikiem dla ludu ma być silniejsze odwołanie się we wstępie do Boga. Tę preambułę można sobie wyobrazić tak: „W imię Boga Wszechmogącego, Jego Syna króla Polski i królowej matki zawsze dziewicy my, Naród Polski, stworzony aktem chrztu świętego w 966 roku, żyjący tradycją powstań – od barskiego po warszawskie, opierając się na kościach żołnierzy wyklętych, wykluczamy ze swojego organizmu komunistów, Tuszków, agentów i złodziei... i ble, ble”.

Bardziej miarodajna niż Duda polityk PiS, Krystyna Pawłowicz, wyprzedzając belwederczyka, powiedziała, że nowa konstytucja powinna zlikwidować państwową i prawną ciągłość pomiędzy PRL a RP i skasować art. 90 obowiązującej konstytucji. Mówi on, że państwo może przekazać część swoich kompetencji organizacji międzynarodowej. Konkretnie chodzi Pawłowicz o to, aby z mocy samej nowej konstytucji Polska nie mogła nadal należeć do Unii Europejskiej.

Tragikomizm życia politycznego pogłębia partia Kukiza. Liczy ona na to, że po wyborach parlamentarnych w 2019 r. stanie się koalicjantem PiS, ale jednocześnie sama to sobie uniemożliwia. Kukiz '15 zachowuje się jak kura, która już grzeje wodę na rosół z siebie i wydziobuje swoje pióra, zanim obetnie nieprzydatną do zupy głowę. Czołowym dążeniem partii są jednomandatowe okręgi wyborcze. Gdyby je wprowadzić, rywalizacja o każdy mandat toczyłaby się między PiS a PO lub zablokowaną opozycją. Wśród 460 okręgów wyborczych nikt nie wypatrzy takiego, w którym większość głosów, a zatem i mandat poselski, mógłby zdobyć kukizowiec. I na tym polega siła Schetyny, że istnieją więksi od niego popaprańcy. □

sekr@redakcja.nie.com.pl



PRASA ŚNIADANIOWA

- Portal **Frona.pl** alarmuje, że guma do żucia zabija plemniki. Dziennikarze „Frondy” przed polknięciem koniecznie powinni usuwać gumę z ust!
- Ojciec **Tadeusz Rydzik** zapewnił, że Radio Maryja jest utrzymywane wyłącznie przez słuchaczy. Wady słuchu w pewnym wieku mogą być błogosławieństwem.
- Krystyna Pawłowicz** zapowiedziała, że prezydentowi Macronowi też „damy radę”. Emmanuel to Bolek?
- Leszek Miller** zadał pytanie, czy Jarosław Kaczyński posiada kartę wędkarską. Jak wiadomo od ostatnich wyborów prezydenckich, Miller nie posiada uprawnień rolniczych.
- Jarosław Gowin** zadeklarował, że nie przytula się do facetów. Pan minister woli bez przytulania.
- Beata Kempa** powiedziała, że wszędzie – na ulicy, w sklepach – wybrzmiewa „trzymajcie ten kurs”. Czy ten sam głos kazał trzymać kurs na lotnisko w Smoleńsku?
- Soraja P.**, siostra twórcy metody „na wnuczka”, stanie przed sądem. To serio był rodzinny interes!
- Kulturalny portal „Tip Berlin” umieścił korespondenta TVP **Cezarego Gmyza** w rankingu stu najbardziej żenujących mieszkańców stolicy Niemiec. Prosimy się nie martwić, jest duża szansa, że za rok red. Gmyz będzie w pierwszej dziesiątce.

MARTA M.

Pierwszy azylant polityczny ucieka z Polski do Czech.

Ziobro bez klamek

MATEUSZ CIEŚLAK

To była wielka chwila dla paragrafów. 31 października 2005 r. Teraz Kazimierz Marcinkiewicz bryluje w TVN 24, ale wówczas to on jako premier pierwszego pisowskiego rządu powołał Zbigniewa Ziobrę na stanowisko ministra sprawiedliwości. A ten wziął się ostro do pracy.

Jej efekty niektórzy pewnie pamiętają. Oprócz łapania kardiochirurgów zabójców, sędziów łapówkarzy czy byłych ministrów mających być członkami mafii (patrz Blida) minister Ziobro oraz jego podwładni zajmowali się legislacyjną drobnicą. Zmieniano przepisy, nie zawsze rozsądnie i nie zawsze zgodnie z konstytucją. Czyli tak jak teraz.

Ludzie o całych nazwiskach

W tym szczęsnym okresie pierwszego panowania Ziobry Marek J. parął się działalnością gospodarczą. Miał firmę transportową, ciężarówkę jeżdżącą po całej Europie, obszerne biuro, sekretarkę i żonę sędzię. Miał również całe nazwisko, tak jak np. pan Ziobro, a nie tylko pierwszą literę nazwiska.

Dziś Marek J. nie ma całego nazwiska, ciężarówek, biura ani sekretarki. Wszystko to zabrała mu prokuratura. Ma żonę, ale drugą. Sędzia wołała zostać przy całym nazwisku, a nie przy inicjale. Mimo to Markowi J. dzieje się nieźle. Jest cenionym logistyką i wykładowcą wyższej uczelni, a także ekspertem giełd transportowych. Zarabia nieźłą kasę, ma więc kolejny powód do niepokojów.

Kolejny, gdyż kilka dni temu Bogdan Święczkowski zlał swoich podwładnych. Święczkowski to kolejny człowiek mogący poczynić się pełnym brzmieniem nazwiska. Oddany człowiek Ziobry. Dzięki niemu awansował jak mało kto w dziejach organów ścigania. Z prokuratora nadzorującego jeden z komisariatów policji w powiatowym Sosnowcu awansował bezpośrednio do Prokuratury Krajowej. Za pierwszych rządów PiS był szefem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego (wtedy zginęła Blida). Następnie, jako prokurator w stanie spoczynku, dał się wybrać na posła w okręg wrocławski i radnego wojewódzkiego w sejmiku śląskim. Następnie ze zdziwieniem dowiedział się, że przepisy zakazują pełnienia jednocześnie funkcji posła czy radnego sejmiku oraz pobierania uposażenia prokuratora. Sąd administracyjny odrzucił jego skargę, gdy wygaszano mu mandat radnego. Taki z niego prawnik i fachowiec.

Ten świetny prawnik dziś jest prokuratorem krajowym. Nadzorcą pozostałych. I kilka dni temu oznajmił, że ci źle się starają. Coraz mniej kasy wpływa do budżetu państwa z tytułu zajętego majątku. Opierdolił podwładnych, że folgują przestępcom. Zajął bowiem majątek wart zaledwie 251 mln zł, a jest to mniej o 51 mln

w stosunku do roku wcześniejszego. Prokuratorzy najczęściej zajmowali nieruchomości, zegarki oraz kosztowności, ale zabrali je tylko 21 tysiącom przestępców, a to około 10 tys. mniej niż rok wcześniej. Mają się wziąć do roboty. Pomińmy te drobne wątpliwości, czy o tym, kto jest przestępcą, decyduje sąd, czy prokurator.

Człowiek z inicjałem

Marek J. przestępcą jest. Skazanym kilkakrotnie. Był również uniewinniany, ale to drobiazg wart najwyżej wzmianki.

Po raz pierwszy usiłowano go skazać za pierwszych rządów Ziobry. Prokuratura zabezpieczyła mu wówczas samochód ciężarowy w związku z kradzieżą towaru spod plandeki. Samochód stał jako dowód w sprawie na parkingu strzeżonym. Po wielu miesiącach okazało się, że właściciel odzyska auto pod warunkiem zapłacenia wielu tysięcy złotych za parkowanie. Pozwał więc prokuraturę do sądu.

Prokuratura postawiła mu zarzuty. Dotyczyły łamania prawa pracy. Chodziło o zwolnienie dyscyplinarne jednego z kierowców. Został skazany, choć twierdził, że chodziło o spór między nim a pracownikiem. Spór, który powinien być toczony na drodze cywilnej.

Firma Marka J. wystawiała kilkaset faktur miesięcznie. Zawsze zdarzało się, że ktoś kilku z nich nie zapłacił. Jego firma kierowała do sądów pozwy o zapłatę. Było to od stu do dwustu spraw rocznie. Chodziło o całkiem niemałe pieniądze, które firma traciła, ponieważ sądy oddalały pozwy albo prowadziły sprawy tak, że odzyskiwał tylko część należnych mu pieniędzy.

– Jak to możliwe? – zapytał kiedyś prawnika. A ten wskazał mu kilka nowych przepisów, wprowadzonych już za czasów Ziobry.

– W zasadzie ten, ten i ten niezgodne są z konstytucją – stwierdził prawnik. – Ale to tylko moja skromna opinia. Mam podejrzenie, że kilka kolejnych to też buble prawne. Ale to też jest tylko moja skromna opinia.

Próba odegrania

Marek J. w nozdrzach poczuł woń krwi. Będzie mógł się odegrać.

– Zaskarżamy – zdecydował.

– Ale to kosztuje – ostrzegł go prawnik. I wyjaśnił, że pod skargą do Trybunału Konstytucyjnego musi się podpisać adwokat. Będzie drogo, gdyż reprezentowanie przed najważniejszym sądem w Polsce to nie przelewki. Po kilka tysięcy złotych od papierka.

– Wchodzę w to – zdecydował Marek J. – Na wakacje zamiast na Malediwy polecę do Dubaju.

Isię zaczęło. Do Trybunału Konstytucyjnego popłynęły skargi. Najlepsze w tym wszystkim jest to, że niektóre z nich były skuteczne. W kolejce na rozpatrzenie czeka jeszcze wiele skarg skierowanych przez prawnika na wniosek Marka J. Niektóre nawet



ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

od ośmiu lat. Ale niektóre zaskarżone przepisy już wyleciały w powietrze. 5 skarg konstytucyjnych TK rozpatrzył pozytywnie, uchylając przepisy. Najlepsze jednak było to, że 3 spośród nich TK rozpatrzył bez rozprawy, tak oczywista była niezgodność przepisów z konstytucją.

Marek J. i jego prawnik cieszyli się już, że robią sieczkę z przepisów ministra Ziobry, gdy przyszło wezwanie do prokuratury na przesłuchanie.

Tam upierdliwy biznesmen dowiedział się, że wszystkie jego skargi konstytucyjne zostały dokładnie zbadane. Podczas badania wykryto obrzydliwe fałszerstwo. Marek J. sfalszował podpisy swojego prawnika i zostanie za to surowo ukarany.

Fałszerstwo

Akt oskarżenia trafił do sądu w Katowicach (VII K1103/10). Marek J. i jego prawnik wtedy zapoznali się z materiałem dowodowym zebranym przez prokuraturę, gdzie przeczytali, że żadnego przestępstwa nie było. Prokuratura bowiem powołała dwóch biegłych grafologów, a ci na żadnej ze skarg konstytucyjnych nie wykryli sfalszowanego podpisu.

Mimo to prokuratura upierała się przy swoim. Biznesmen podrobił podpis reprezentującego go prawnika. Sąd zechciał ich przesłuchać. Zaczął od przedsiębiorcy.

– Niczego nie sfalszowałem – zapewnił Marek J.

– A jakieś dowody na to, że fałszowania podpisów nie było? – zapytał sąd.

– Po co jakieś dowody? – zdziwił się na to biznesmen. – Całe to oskarżenie to absurd.

– Absurd? – teraz zdziwił się sąd.

– W dodatku oczywisty – odparł Marek J. – Przepisy mówią, że przed Trybunałem Konstytucyjnym staje prawnik, który podpisał się pod skargą konstytucyjną. No więc jaki sens miałyby podrobienie jego podpisu?

Sędzia zamyślił się. Może w tym jest jakaś logika. Tylko jaka?

– No a poza tym – dodał Marek J. – można przesłuchać prawnika. Po- wie, czy podpisywał skargi, czy ich nie podpisywał.

Sąd wezwał na przesłuchanie prawnika. Ten odpowiedział, że chętnie zezna, jak było, pod warunkiem że zostanie zwolniony z tajemnicy adwokackiej. Przepisy nie zezwalały mu mówić o sprawach dotyczących klientów, w przeciwnym razie grozi mu wydalenie z zawodu. Ale jeśli we właściwym trybie zostanie zwolniony z zachowania tajemnicy adwokackiej, wówczas powie, jak było. I sąd do dziś go nie był łaskaw przesłuchać. Marek J. został zaś skazany za fałszerstwo.

Ci, co piszą i czytają

Skarga na ten wyrok trafiła do kolejnego sądu w Katowicach (VI Ka 184/14). Sąd apelacyjny wywalił wyrok skazujący do kosza. Jak wytłumaczył, nie wiadomo, za co Marek J. został skazany. Uzasadnienie wyroku skazującego nie polega bowiem na przepisaniu aktu oskarżenia. Przyczepił się również do tego, że biegli nie znaleźli żadnego sfalszowanego podpisu. I do tego, że nie przesłuchano prawnika. Sprawa wróciła do sądu pierwszej instancji.

Aktem oskarżenia zajął się następny sąd w Katowicach (VIII K364/14). Powołał jeszcze jednego biegłego. Grafolog zbadał skargi i znowu nie znalazł fałszerstwa. Tym razem jednak prokuratura dobrze się na to przygotowała. Powołała jeszcze jednego biegłego, zatrudnionego w krakowskim Instytucie Sehna.

– Tam są najlepsi fachowcy w kraju – dowodził prokurator. – Odtworzyli słowa, które padały w kokpicie rządowego tupolewa tuż przed katastrofą smoleńską. A ten, którego zgłaszamy, sprawdzał autentyczność podpisu Waleśy pod kwitami dla Służby Bezpieczeństwa.

Sąd powołał biegłego zgłoszonego przez prokuraturę. Ten dostał obszerną korespondencję z Trybunałem Konstytucyjnym. Nie tylko same skargi, lecz wiele pism dodatkowych. Jak to z sądami bywa, również TK żądał dosyłania coraz to kolejnych papierków. W sumie biegły miał do zbadania ponad 100 parafek prawnika.

Dwie z nich miały łuk o długości ok. 2 mm identyczny jak w podpisach Marka J. Biegły orzekł, że mogą to być fałszywki.

Z opinii biegłego wynika, że Marek J. mógł podrobić podpisy swojego prawnika, ponieważ posiada umiejętność pisania.

Co więcej, podpisy Marka J. są skoordynowane i uporządkowane, a podpisy prawnika chaotyczne. Choć w innej części opinii biegły pisał na odwrót.

Prawniki Marka J., którzy i tym razem nie zostali przesłuchani, miały wrażenie, że opinia została sklejoną z dwóch innych. Z pewnością nie była uporządkowana, a chaotyczna i owszem. Napisał do Instytutu Sehna i otrzymał odpowiedź, że wnioskowany biegły ma wykształcenie dendrologa.

Dendrolog to ekspert od drzew. Drzewa, jak wiemy, nie piszą. Nie robią paraf, a tym bardziej podpisów. Ale ten dendrolog fascynował się starodrukami i nabył sporą umiejętność odróżniania oryginałów od fałszyfikatów. Prokuratura go przeszkoliła i nabył uprawnienia biegłego. Znając się początkowo na druku, ocenia dziś również podpisy.

Azyl

Marek J. został ponownie skazany. Ciągłe nie wie, za co. W trakcie tego czekania złożył wnioski o azyl w kilku ambasadach, m.in. w belgijskiej, czeskiej i USA.

Napisał: „Proszę o udzielenie ochrony i azyl polityczny motywując wyłącznie poczuciem zagrożenia w sytuacji, gdy reżim polskiego rządu stara się »zablokować« moje działania w obronie praw obywatelskich poprzez próbę uwięzienia mnie za rzekomo popełnione przestępstwo pospolite, związane z walką o prawa obywatelskie”.

Do wniosku dołączył roczne zeznania podatkowe swoje oraz małżonki, aby tam wiadano, że nie jest gołodupcem. W ambasadzie belgijskiej jego wniosek został od razu oddalony. Powiedziano mu, że Polska jest ostoją demokracji. Podobnie u Amerykanów. W ambasadzie czeskiej usłyszał, że wniosek o azyl został przesłany do odpowiedniego ministerstwa w Pradze. Ma czekać na odpowiedź.

mcieslak@redakcja.nie.com.pl

Dokończenie ze str. 1

Wystąpienie Kamińskiego (jest on wiceprezesem PiS, członkiem Komitetu Politycznego i prezydium oraz szefem stołecznych struktur partii) nie było przypadkowe i odbyło się zaledwie 4 dni po spektakularnym marszu opozycji, w którym uczestniczyło ponad 200 tysięcy ludzi. Wałkowane potem przez pisowskie media miało przykryć okazane na ulicach Warszawy niezadowolone społeczeństwo wobec obozu rządzącego.

PiS kłapie i kłamie

Koordynator służb specjalnych i jego zastępca doskonale znają się na urzędowaniu mistyfikacji. Kamiński i Wąsik (za pierwszych rządów PiS stali na czele CBA) zostali skazani na kary bezwzględnej więzienia za nadużycie władzy w sprawie tzw. afery gruntowej. Aby pograć koali-

cjanta PiS i wicepremiera Andrzeja Leppera, który nie okazywał wystarczającej lojalności wobec Kaczyńskiego, podjęli nielegalne działania operacyjne, sfabrykowali dokumenty mające posłużyć do wrobienia go w lipną aferę. W skandalicznych okolicznościach w listopadzie 2015 r. An-

drzej Duda ułaskawił kumpli, zapewniając im bezkarność, a ci zostali ministrami odpowiedzialnymi za nadzór nad służbami specjalnymi. Tak wygląda mafijne państwo PiS. Ręka rękę myje.

sikorski@redakcja.nie.com.pl

PS Tuż przed oddaniem artykułu do druku dostałem wiadomość od prokurator Bialik, że śledztwo w sprawie inwigilacji byłego kierownictwa CBA i ABW prowadzi Prokuratura Okręgowa w Gliwicach. Rzecznik tamtejszej prokuratury przesłała jedynie lakoniczną informację, że prowadzone jest „postępowanie przygotowawcze w sprawie przekroczenia w okresie od stycznia 2013 r. do marca 2015 r. w Warszawie przez funkcjonariuszy publicznych przysługujących im uprawnień poprzez podejmowanie czynności o charakterze operacyjno-rozpoznawczym pomimo braku podstaw do podjęcia takich działań”, a „treść zawiadomienia złożonego w niniejszej sprawie jest objęta klauzulą ściśle tajną, nie ma zatem możliwości udzielania panu w tym zakresie informacji”.

Spuścizna Lecha Kaczyńskiego

Każdy, byle nie Duda.

Spuścizna Lecha Kaczyńskiego. Kawaler najwyższego odznaczenia Związku Solidarności Polskich Kombatantów „Semper Fidelis” (zawsze wierny). Niezameżna żona dwóch mężów. Matka dwojga dzieci ustalanego sądownie ojcostwa. Posiadaczka torebki Louisa Vuittona za 15 tys. zł, kurtki Moncler za 8 tys. i butów Tory Burch za 2,2 tys. oraz psa rasy chihuahua. Wybitna publicystka liderująca opinii publicznej tygodnika „wSieci”. Prezes Fundacji im. Marii i Lecha Kaczyńskich. Gwiazda socjometryczna. Beneficjentka 3 mln zł odszkodowania za śmierć rodziców. Właścicielka Audi Q7 i BMW X5. Trójmiejska ikona mody. Córka śp. pary prezydenckiej – tak mniej więcej będzie wyglądała notatka biograficzna kandydatki na stanowisko Prezydenta RP Marty Kaczyńskiej w 2020 r.

Oczywiście przymiotów tych przybędzie: żarliwa katoliczka, doktor prawa administracyjnego, zasłużona na polu ochrony zwierząt futerkowych, a ponieważ będzie to zarazem 40. rok jej urodzin, to także: równolatka powstania „Solidarności”, kobieta pierwszej klasy, drugiej młodości, trzeciego wymiaru, czwartej dekady, posiadająca szósty zmysł, po prostu ósmy cud świata. Matka Boska sopocka, królowa Polski.

...

Nie, nie

– pogłoski, które rozlały się po środowisku PiS w kuluarach sejmowych, jakoby Jarosław Polskę Zbaw zwariował, promując bratanicę na kandydatkę na prezydenta w przyszłych wyborach, nie są wyssane z palca. To znaczy imaginacja, że zwariował, może jest prawdziwa, natomiast że dowodem owego wariactwa jest mecenat nad bratanicą w drodze do pałacu prezydenckiego – już nie.

W końcu Jarosław ma niebywale szczęśliwą rękę w namaszczaniu prezydentów – mając na koncie dwóch.

Ongiś solennie obiecał, że prezydentem sam nigdy nie będzie i dlatego pewnie świadomie przegrał wybory z Bronisławem Komorowskim. Niespełniony biologiczny ojciec, mający jednak ambicję, aby formacja myślowa rodziny Kaczyńskich nadal rządziła Polską, wskazując Martę na fotel prezydenta, wybiera kandydatkę idealną i jedynie możliwą.

...

Kaczyński w gruncie rzeczy prawdopodobnie nie ufa nikomu. Ziobro i Kurski okazali się ongiś wiarołomni, kompletna klęska. Błaszczak, ach ten Błaszczak, żadnej własnej myśli. Duda narcyz, który w końcu uwierzy, że jest tym, kim go wołają. Prezydentem RP, zawdzięczając swą karierę strategicznej umiejętności przedstawiania krzeseł pod kaczyńskie kupry Lecha i Jarka. W końcu się mentora wyrzeknie, no i jednak jest postacią pośledniego formatu. Pokładać nadzieję w wiceprezesie Ochotniczej Straży Pożarnej gminy Brzeszcze, jaką jest pani Szydło? Nonsens.

...

Obydwa życiorysy – Jarosława i Marty – naznaczone są tymi samymi tragediami. Kaczyński stracił brata, matkę i bratową. Nie posiada żyjących potomków. Marta również przeżyła przedwczesną utratę rodziców. Jarosław jest obecnie ojcem Marty, tak jak był w wieku niemowlęcym i przedszkolnym, kiedy jako dziecko, widząc stryja, Marta mówiła, że to tata, a tatę myliła ze stryjem – nie odróżniając najwyraźniej jednego bliźniaka od drugiego.

Marta Kaczyńska jest najważniejszym człowiekiem dla Kaczyńskiego, jak również on reprezentuje dla niej wartość priorytetową. Połączeni są ideą żywego pielęgnowania spuścizny po wielkim prezydencie Lechu Kaczyńskim i jego chorowitej żonie. Spuścizną Lecha w każdym rozumieniu słowa „spuścizna” jest Marta. Krew z krwi po mieczu i po kądzieli. Jedyną gwarancją trwania kacyzmu w biologicznej i filozoficznej formie przez tysiąc lat.

...

Obecnie w tym rodzinnym tandemie Kaczyński jest większy, ale wkrótce górować zacznie Marta z ontogenetycznych choćby przyczyn.



ILUSTRACJA: KRZYSZTOF OLEJNIK

Marta nie jest politykiem PiS-u, co będzie zaletą za 3 lata, kiedy społeczeństwo będzie już znużone monotonnymi i minorowymi pomysłami rządu oraz odczuje ujemne skutki lekkomyślnej polityki socjalnej.

Jak donoszą źródła, prezes PiS pracuje nad umysłowością przyszłej prezydentki, odbywając z nią codzienne wielogodzinne rozmowy telefoniczne na tematy polityczne. Uświadamia jej mechanizmy władzy.

„Zawsze ma zajęte. Nigdy nie można się do niej dodzwonić, a potem tłumaczy, że kontrolnie dzwoniła do stryja” – mówi jeden z naszych rozmówców.

Słuszne więc było umieszczenie Marty Kaczyńskiej przez „Gazetę Wyborczą” w gronie pięćdziesięciu najbardziej wpływowych kobiet 2016 r. „Gazeta...” nie oszacowała jej pozycji na tej krótkiej liście, gdyż miała ona porządek alfabetyczny, ale gdyby to zrobiła, Kaczyńska zajęłaby niechybnie pozycję zaraz po Szydło i Gronkiewicz-Waltz.

...

3 lata temu Marta Kaczyńska nie wykluczała aspiracji politycznych, mówiąc: „Może w przyszłości przyjdzie na to czas”. Teraz jednak twierdzi coś innego: „Pociąga mnie praca na rzecz kraju”. Gdzie indziej: „Denerwuję się, gdy słyszę ludzi, którzy mówią, że nic ich nie obchodzi. Chciałabym, żeby wszyscy zdali sobie sprawę, że głos każdego jest ważny, że tylko razem możemy coś zbudować”. Oraz: „Zrobię wszystko, aby idee mojego ojca nie poszły w zapomnienie”.

Coraz częściej w swoich felietonach dla tygodnika „wSieci” w sposób sprawny i jasny zajmuje stanowisko w sprawach społecznych, gospodarczych i politycznych, a jej myśli nie mają charakteru wtórnych obserwacji: „Powinnismy otworzyć się na współpracę z Litwą”; „Całko-

wity zakaz aborcji zagraża życiu i zdrowiu kobiet (...), każda kobieta musi mieć zagwarantowaną możliwość podjęcia świadomej decyzji przy wsparciu odpowiednio przeszkolonego personelu medycznego, a także duchownych”; „Brak dostępności in vitro jest hipokryzją”.

Jest też autorką dywagacji podobnego rodzaju: Media społecznościowe i kultura internetu są oczywistym zagrożeniem dla pokolenia roku 2000. Sensowne jest przywrócenie zasadniczej służby wojskowej, bo... u dzisiejszych młodych mężczyzn (pewnie miała na myśli swoich dwóch byłych mężów) zanika kondycja fizyczna.

Imputuje się z prawdopodobieństwem granicznym z pewnością, że pomysł sanacji przemysłu okrętowego w Szczecinie, a wcześniej pochówku pary prezydenckiej na Wawelu był jej autorstwa.

...

Zapytani przez nas ci, którzy znają Martę Kaczyńską bliżej niż ze szpalt tabloidów, mówią:

– Zawsze potrafiła przyciągać do siebie ludzi, była odważna. Stawała w centrum i potrafiła przejmować inicjatywę.

– Wszędzie, gdzie się tylko pojawia, spotyka się z dużym szacunkiem. Bywa zawsze w odpowiednim miejscu o odpowiednim czasie. Godnie pełni obowiązek córki śp. Lecha Kaczyńskiego.

– Jest bardzo skutecznym i pomocnym prawnikiem. Aczkolwiek kancelarię prowadzi od niedawna, cieszy się sporym zaufaniem. Nikt nie odchodzi bez porady, nawet jeżeli nie jest w stanie za nią zapłacić. To prawdopodobnie wyniosła z domu, po ojcu, który udzielał bezpłatnych porad robotnikom w stoczni.

– Ma szerokie kontakty towarzyskie. Marta Kaczyńska ongiś dzięki ojcu poznała trzech papieży i kilku premierów. Obecnie nad jej dyplomatycznym obyciem pracuje stryj, korzystając

z każdej sposobności, aby przedstawić ją na arenie międzynarodowej, jak choćby prezydentowi Stanów Zjednoczonych.

– Mimo gorzkich doświadczeń ma bardzo pozytywne i ciepłe nastawienie do ludzi. Potrafi rozumieć ich problemy, nawet zanim wyłożą sprawę do końca.

– Ma pewną taką zdolność do sprowadzania sprawy do najmniejszego wspólnego mianownika i wskazywania prostych rozwiązań. Kiedy inni przystępują do dyskusji, ona już zna jej rezultaty.

– Redakcja „wSieci” jest z niej zadowolona. Pocyna sobie coraz śmielej. Porusza coraz ważniejsze tematy. Piszę wprost. Niczego nie owija w bawełnę. Gdy tylko numer tygodnika trafia do kiosków, o jej tekstach zaraz mówi pół Polski. Ma rzeszę adoratorów i czytelników. Otrzymuje mnóstwo maili oraz klasycznej korespondencji.

– Mam o niej jak najlepsze zdanie. Inteligentna i mądra. Dobry prawnik. Rodzice musieli mieć na nią duży pozytywny wpływ. Po mamie jest niezwykle sympatyczna. Po profesorze Kaczyńskim wyjątkowo dobrze wychowana, jakby знаła te wszystkie poradniki o zachowaniu przy stole czy w towarzystwie ważnych osób.

– Odznacza się nadzwyczajną pewnością siebie. Pewność ta wynika chyba z rzeczywistych jej kompetencji.

...

Dziwne wydaje się to, że prezes Kaczyński świadomie lub nie napomknął obecnie o swoich planach wobec bratanicy. Ma on wszelako większą zdolność do patrzenia dalej i wybiegania myślami w przyszłość niż ktokolwiek z jego formacji.

Być może uznał, że ogłoszone przez Dudę referendum, które w zamierzeniu ma uczynić prezydenta szefem rządu, co nie mogło być przecież oryginalnym pomysłem Dudy, za rok będzie klęską, jeżeli społeczeństwo miałooby decydować o stworzeniu systemu prezydenckiego dla Dudy, a nie jakiegoś abstrakcyjnego prezydenta. Być może przygotować chce nas do myślenia, że następnym prezydentem, pierwszym w historii Polski, będzie kobieta, i to z myślą o niej zmieniać będziemy konstytucję. Powinnismy brać to pod uwagę już dziś, bo gdybyśmy dowiedzieli się za rok, elektorat ze swoją sporą bezwładnością percepcyjną mógłby owej matriarchalnej przesłanki zmiany ustroju nie zauważyć. Nieunikniony jest więc pewnie konflikt między Dudą a Kaczyńskim, ale przy pozycji tego drugiego jest to żadna trudność.

Być może Kaczor czuje tę tendencję, która sprawiła, że w dwóch najważniejszych krajach Europy żądał baby, a wśród Polaków podobne skłonności są pradawnie zakorzenione (to jednak Maryja jest przede wszystkim królową, a nie Chrystus królem Polski) i rozumie, że spotęgują się za chwilę, już więc planuje, jak je wykorzystać.

...

Z życiorysów wielkich ludzi, dotyczących czasów dzieciństwa, często dowiadujemy się o ich oświadczeniach, które w jakiejś formie urzeczywistniły się w przyszłości. Albert Einstein, twórca teorii względności, marzył o podróżowaniu na końcu promienia światła. Norma Jeane Mortenson, co odnotowali jej biografowie, twierdziła wobec współwychowanków sierocińca, że zostanie żoną prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jako Marilyn Monroe w istocie została jego kochanką. Oprah Winfrey w wieku 8 lat powiedziała ojcu, że będzie zarabiała przez mówienie. Potem została twórcą najpopularniejszego w USA talk-show i najlepiej opłacaną prezenterką telewizyjną. Marta Kaczyńska, będąc dzieckiem, roiała wobec dorosłych, że zostanie Sądem Najwyższym.

ROBERT JARUGA



Zdjęcia: NEWSPIX.PL

Z flinty do Putina

Myśliwy strzela,
Macierewicz kule nosi.

Władimir Putin nie spał, nie jadł i nie pił przez dwie doby. Powód: od ministra Jana Szyski dowiedział się, że do naszych Wojsk Obrony Terytorialnej wstąpią myśliwi. Wiele wskazuje na to, że szef resortu ochrony środowiska z premedytacją wywołał w Moskwie panikę, albo-wiem otwartym tekstem i z pełną powagą wygłosił następujący kawałek: „Polscy myśliwi to ludzie, którzy docierają do 85 proc. kraju, tam, gdzie nikt nie chodź. Myśliwy pójdzie wszędzie i zajrzy w każde miejsce, ma pełną penetrację i znajomość terenu, a do tego świetnie się porusza nocą. Ponadto biegle posługuje się bronią i świetnie strzela, również do celów ruchomych. Wykorzystanie myśliwych w Wojskach Obrony Terytorialnej to czysty pragmatyzm”. Pan minister nie wyjaśnił, na czym polega pełna penetracja, będąca udziałem myśliwych, ale i bez tego cel wojny informacyjnej, polegający na sianiu paniki w obozie wroga, został osiągnięty, bo sława leśnych strzelców z Nadwiślańskiego Kraju jest wielka i w pełni zasłużona. Oto dowody.

Pojedziemy na łów, na łów, towarzyszu mój

W lasach niedaleko Biłgoraja straż łowiecka zauważyła dziwnie zachowujących się mężczyzn. Jeden z nich odziany był w strój myśliwski, strażnikom przyszło więc do głowy, że natknęli się na nielegalne polowanie. Podejrzanie nabrało znamion pewności, gdy trójca, zamiast okazać dokumenty, wskoczyła do auta i zaczęła umykać. Daleko nie uciekła, acz dopiero wtedy zaczęły się schody – z samochodu wyskoczył uzbrojony w sztucer jegomość i kazał strażnikom wypierdalać. Doszło do szarpaniny. Gdy napastnika udało się obezwładnić okazało się, że:

- a) broń była nabita;
- b) miał pozwolenie, gdyż jest myśliwym;
- c) w jego krwi pływało 1,64 promila.

„Od tragedii było niedaleko, ale dobrze, że nikt nie zginął” – cieszyli się strażnicy.

W Stupecznie koło Lublina nie było z czego się cieszyć, bo na polu znaleziono martwego myśliwego, nieżywego zająca, dwie dubeltówki i sztucer. Polujący nie zachował należytej ostrożności i postrzelił się w szyję, czyli zginął przypadkiem. Zając również padł od kuli, ale wystrzelonej intencjonalnie.

Naczelnik Urzędu Skarbowego w Krotoszynie (Wielkopolska) nie jest jeleniem i podczas polowania na jelenia zachował rozwagę, ale nie na wiele się to zdało – kolega-myśliwy postrzelił go w dupsko, biorąc naczelnika za zwierza. Media ze zdumieniem zauważyły, że wszyscy uczestnicy zdarzenia byli trzeźwi.

Aż tam biegnie sarna, sarna

Komedia typu qui pro quo to na polowaniach gatunek popularny. W Janiszewie (gmina Pelplin) 44-letni jeger podchodził do ambony, aby w ramach troski o przyrodę przyczaić się i nieco wyregulować pogłowie okolicznej zwierzyny. Ambitnego planu nie zrealizował, bo znalazł się pod ostrzałem przyczajonych w okolicy myśliwych i dostał w brzuch. Okazało się, że kanonadę urządzono, ponieważ pomyłono go z dzikiem.

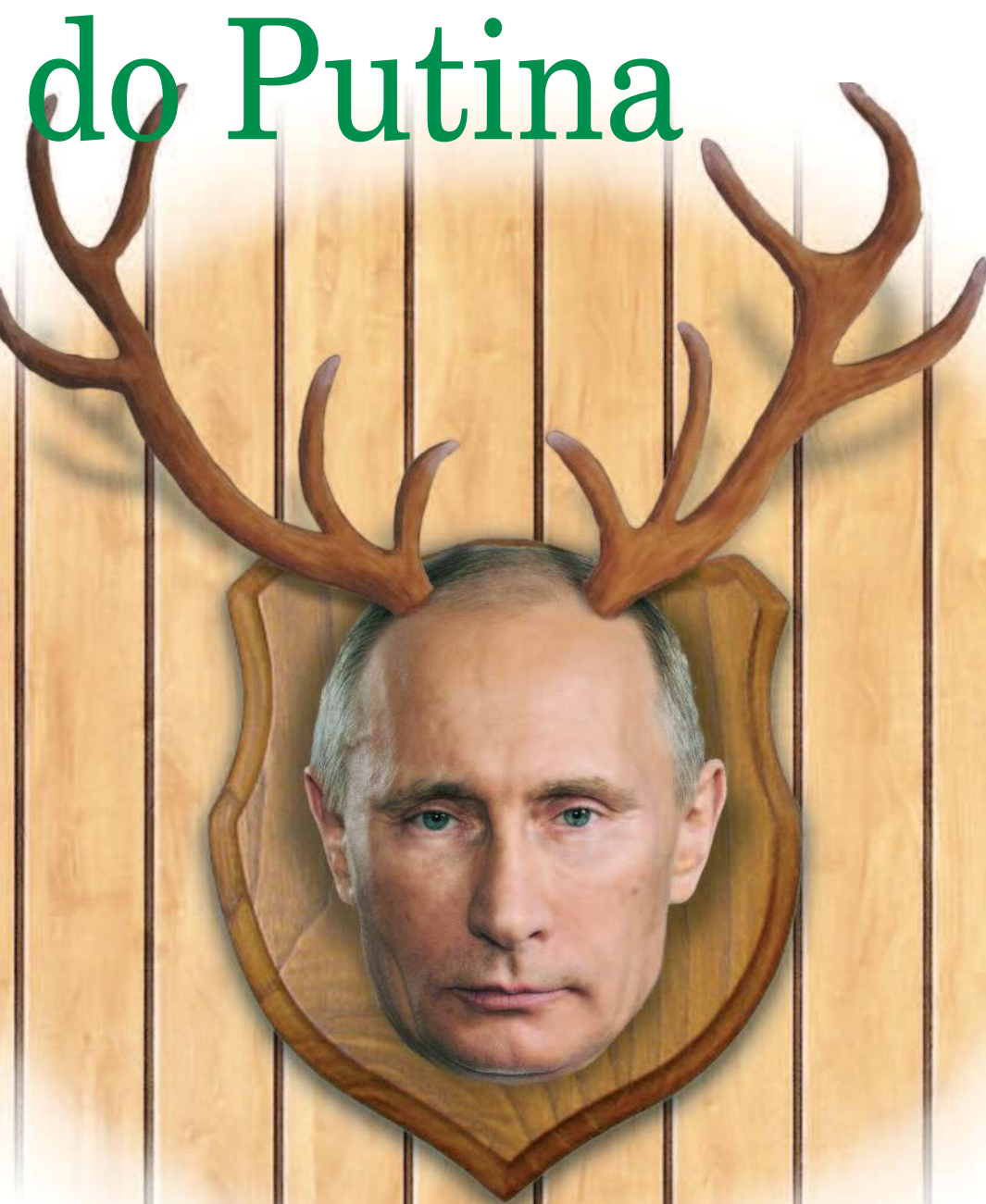
Ofiarami pomyłek nie zawsze są współuczestnicy łowów; bywają nimi konie, kucyki, psy, koty, a także przypadkowi przedstawiciele gatunku homo sapiens.

W powiecie głogowskim (Dolny Śląsk) 63-latek szedł drogą, nie mając pojęcia, że w pobliskich krzakach ukrywa się stado uzbrojonych i żądnych krwi mężczyzn. Nafaszerowano go ołowiem, bo myśliwcy wzięli spacerowicza za wielkiego dzikiego psa. Zmarł w szpitalu.

Przy drodze wojewódzkiej w Mirkowicach (Wielkopolska) znaleziono ciało 22-latka. Zakładano, że nieszczęśnika potrafił samochód, ale wersja ta upadła, gdy na głowie ofiary odkryto ranę postrzałową. Pocisk wystrzelono z broni myśliwskiej. Jak się okazało, w pobliżu odbywało się polowanie, a chłopak znalazł się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu.

Koło Wągrowca z ręki myśliwego zginął 57-letni rowerzysta. Początkowo prokuratura przyjęła, że strzelec działał zgodnie ze sztuką, a cyklista miał pecha, bo oberwał wskutek rykoszetu. Badania balistyczne dowiodły jednak, że rykoszetu nie było, a kula sięgnęła celu, nie zmieniając toru lotu. Co więcej, ustalono, że do rowerzysty oddano 7 strzałów, choć dzik na rowerze w przyrodzie zasadniczo nie występuje. Samochodem także raczej się nie postuguje.

Tymczasem koło Łęczycy trzech młodziaków siedziało w aucie na leśnym parkingu, słuchając



ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

muzyki. Przyjemność zepsuł im odgłos wystrzału. Pocisk przebił klapę bagażnika, kanapę, przeszył klatkę piersiową 21-latka, a później przebił zagłówek i spowodował niegroźne obrażenia na szyi innego pasażera. Pokot: jeden człowiek zabity, drugi ranny. Myśliwy tłumaczył, że wypalił wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności.

Osobna kategoria to wypadki z powodu braku nadzoru nad bronią. Np. w Nieleddwi (powiat żywiecki) 12-latek dobrał się do sztucera ojca-myśliwego i podczas zabawy zastrzelił rówieśnika.

Aż tam biegnie panna, panna

Staropolskie porzekadło głosi, że wódka na polowaniu uratowała więcej zwierząt niż wszystkie organizacje ekologiczne razem wzięte. A na pewno uratowała pewną lanię i jej potomstwo.

Oto myśliwy z Lublina wrócił z polowania dzień później niż zapowiadał i w stanie euforii wywołanej spożyciem znacznej ilości spirytualiów. Zjeżona żona nie chciała go wpuścić do domu, oddał więc serię strzałów, na szczęście chybając. Słubna wrota rozwarła, gdyż bała się o życie swoje i czworga dzieci, spodziewając się, że w końcu jakiś strzał okaże się celny. Upřednio powiadomiła jednak policję. Badanie wykazało obecność we krwi strzelca dwóch promili.

Mniej szczęścia miał jeleni ostrzelany przez czterech pijanych myśliwych z Podkarpacia. Panowie zawlekli zwierzę na działkę letniskową i tam kontynuowali imprezę, świętując ustrzelenie pięknego okazu. Tyle że okaz niespodziewanie ożył i zaczął biegać jak oszalały. Aby zapobiec ucieczce szkodnika, urządzono kanonadę i jeleni w końcu zaległ pod płotem. Jakis wredny przeciwnik polowań wezwał policję. Gdy na miejscu zdarzenia pojawiali się funkcjonariusze, zwierzę żył jeszcze, chociaż wnet wyzionął ducha.

Myśliwy ze Szklarskiej Poręby na trzeźwo wabił sarny, rozsypując pokarm w swym ogródku. Znęcił całe stado, następnie wykazał się niebывалым kunsztem strzeleckim, pakując w jedną z nich śrut z odległości metra. Policję powiadomili zaniepokojeni strzelaniną sąsiedzi.

Itd.

Moja szabla, a twój kij,

terazże się ze mną bij

Powyższe przykłady, choć przedstawiona lista zasług na polu chwały jest niepełna, niezbitcie dowodzą gotowości myśliwych do służby ojczyźnie w szeregach armii Macierewicza. Szkopuł: oddziały obrony terytorialnej mają liczyć 53 tysiące żołnierzy, a łowców jest 120 tysięcy. Wniosek: wszystkich wcielić się nie da, co doprowadzi do zmarnowania potencjału militarnego i znacznego osłabienia zdolności do odstraszenia przeciwnika. MON powinno zatem zwiększyć liczebność WOT, aby każdy myśliwy zamiast kolegi lub przypadkowego rowerzysty miał szansę zastrzelić Rusa. Żeby nie oddać nawet guzika, Polska nie będzie wtedy potrzebować ani

wschodniej flanki NATO, ani bomby atomowej, ani śmigłowców uśmierconych przez Wacława Berczyńskiego.

Pewną przeszkodą może być także fakt, że

na razie myśliwych nie ma gdzie wcielić, bo WOT istnieją tylko na papierze i w głowie ministra, choć miały przedefiniować przez Warszawę już w grudniu zeszłego roku. Polacy nie dostali obiecanego przez Antoniego Macierewicza prezentu pod choinkę, bo mianowanie dowódcy WOT i utworzenie sztabów trzech brygad nie uczyniło oddziałów zdolnych do przemaszerowania przez stolicę. Mówiąc wprost, przedsięwzięcie przerosło intelektualne zdolności ministra obrony.

MON chwali się, że w miejscu uformowania pierwszych brygad, czyli w Lubelskiem, na Podkarpaciu i Podlasiu chęć służby w terytorialsach wyraziło 17 tysięcy młodych patriotów, co stoi w sprzeczności z danymi prezentowanymi przez Wojskowe Komendy Uzupełnień. Wynika z nich bowiem, że na ścianie wschodniej złożono 1600 wniosków o wcielenie do WOT. Dopiero 6 maja rozpoczęło się szkolenie pierwszych czterystu ochotników, co oznacza, że na razie, w szeregach WOT nie ma ani jednego pełnoprawnego wojaka, nie licząc pułkowników i majorów piastujących stanowiska dowódcze wysokiego szczebla.

Podstawową jednostką oddziałów obrony terytorialnej mają być kompanie ze Stałym Rejonem Odpowiedzialności w miejscu formowania, czyli w powiecie lub w przypadku dużych miast – w gminie. Żeby zrealizować plan Macierewicza, trzeba więc utworzyć 400 kompanii, do tego niezbędne jest nie tylko mięso armatnie w osobach szeregowców, ale także kadra dowódcza niższego szczebla. Skąd wytrzepać 400 oficerów do dowodzenia kompaniami i 1200 podoficerów władających plutonami? Nie bardzo wiadomo. Na razie po półrocznym kursie w zakresie działań i taktyki WOT na pierwszy stopień oficerski mianowano 27 osób, kolejne 60 przechodzi szkolenie, promocja przewidziana jest jesienią. Pomijając fakt, że po kilkumiesięcznym kursie zdolność dowodzenia jest wątpliwa, to kropla w morzu potrzeb.

Definiować nie ma komu i cała nadzieja w Szyszcze i jego towarzyszach z polowań.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK
mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl

PS Śródtytuły pochodzą z pieśni myśliwskiej „Pojedziemy na łów”.

Kaczyński i bestia

Ćwierkajta, co chceta, czyli zupełnie nieobiektywny i niereprezentatywny sondaż społeczności twitterowej.

Pytanie zadane na Twitterze brzmiało:



Głos oddało 712 osób. Mało kto zwrócił uwagę na to, że Kaczyński tak podstępnie kieruje państwem, aby za wszystkie pogwałcenia prawa nie ponosić żadnej odpowiedzialności. Za okres rządów po 2015 r. nie grozi mu więc na razie Trybunał Stanu. Być może głosujący liczą, że prezes PiS wreszcie stanie na czele rządu, kończąc karierę marionetkowej premier Beaty Szydło. Najwyższy procent głosujących może też dowodzić, że obywatele żywo pamiętają, iż Kaczyński kiedyś miał stanąć przed Trybunałem Stanu. To byłby raczej zły sygnał dla Platformy Obywatelskiej, bo nie będzie trudno przypomnieć ludziom, z jakiego powodu do tego nie doszło. Nieobecność pięciu posłów podczas głosowania za TS dla Ziobry i przewlekłe, nieskuteczne procedowanie TS dla Kaczyńskiego to grzechy PO, które nie są łatwe do zmycia.

Zaskakująco mało osób widzi Kaczyńskiego w Sulejówku. Rola naczelnika państwa najwyraźniej prezesowi nie wychodzi. Piłsudskiego z niego nie będzie. Wieniawy-Długoszewskiego też nie. Może więc chociaż kasztanka?

Z dwóch ekstremalnych rozwiązań zwolennikom opozycji

bardziej podoba się umieszczenie Kaczyńskiego w jednej celi z Trynkiewiczem niż postawienie przed trybunałem ludowym. To dobrze świadczy o rodakach, którzy wciąż tryskają czysto polską, katolicką, bezinteresowną miłością bliźniego.

AR



Rys. TOMASZ WATIER

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Pomysł ograniczania praw obywatelskich za pomocą jakichkolwiek cenzusów – także wykształceniowych – zawsze uważałam za oburzające. Ale tym razem zrobiłabym wyjątek. Obywatele, którzy zapragną wziąć udział w prezydenckim referendum konstytucyjnym, powinni najpierw zdać egzamin ze znajomości konstytucji. Zresztą nie przesadzajmy ze znajomością: wystarczyłoby z czytania ze zrozumieniem.

Niestety ów projekt ma tę wadę, iż żadnego referendum nie będzie. Prezydencki wybryk z konstytucją to konsekwencja ciągu wydarzeń, który może być uznany za portret prezydentury Andrzeja Dudy w pigułce: kolejnych porażek i nieudolności pokrywanych następnymi aż do grande finale w postaci wystąpienia z 3 maja. Prezydent ogłosił swój pomysł konstytucyjnej rewolucji w nadziei, że nada mu to w oczach opinii publicznej prezydencki format, albowiem ciąg ekscesów z ostatnich kilku tygodni nawet jemu uświadomił, że coś z tym formatem jest niehalo. Swoją inicjatywę obliczył, równie nieudolnie, na przypodobanie się Jarosławowi Kaczyńskiemu, który winę za konflikt na linii prezydent – szef MON – prawdziwe źródło prezydenckich kłopotów w ostatnim czasie – złożył na karb „fatalnego kształtu polskiej konstytucji”. Jedno i drugie zawiodło, z tego samego zresztą powodu: bez wsparcia PiS inicjatywa prezydencka wygląda żałośnie, a wsparcia PiS mieć nie mogła, bo – jak powszechnie wiadomo – prezes nie lubi nieuzgodnionych inicjatyw podwładnych.

Gdzie ma Dudę Macierewicz

Przypomnijmy: wiosną prezydent Duda postanowił dać wyraz swojej konstytucyjnej pozycji zwierzchnika sił zbrojnych i pisemnie zażądał od Macierewicza wyjaśnień w sprawie nieobsadzonych attachatów wojskowych oraz tworzenia wielonarodowego dowództwa dywizji w Elblągu. Minister odpowiedział w sposób, który można streścić słowami „nie interesuj się, bo kociej mordy dostaniesz”, co prezydent uznał za odpowiedź „niesatysfakcjonującą”. To wtedy mniej więcej prezes Kaczyński ogłosił, że za arogancję ministra obrony wobec głowy państwa odpowiada konstytucja. Potem konflikt na linii szef MON – Prezydent RP nieco zszedł na dalszy plan, albowiem opinia publiczna skupiła się na fakcie znacznie donioślejszym dla polskiej obronności: Jarosław Kaczyński zawiesił Bartłomieja Misiewicza w prawach członka PiS. Atoli pod koniec kwietnia światło dzienne ujrzał jeszcze jeden list prezydenta do ministra, przesłany także do wiadomości premierzycy. Duda umieścił w nim wykaz pism kierowanych przez jego kancelarię do MON od grudnia 2015 do października 2016 r. – pism, „które do chwili obecnej pozostały bez odpowiedzi”. Jedną z wątpliwości prezydenta dotyczyła ukochanej armii podwórkowej Macierewicza, co musiało szefa MON szczerze wkurwić: „Czy tworzenie wojsk obrony terytorialnej wpływa na osłabienie gotowości bojowej armii zawodowej?”. W konkluzji listu Andrzej Duda „oczekiwał od Pana Ministra zajęcia pilnego stanowiska” (tak w oryginale).

Zamiast tego Beata Mazurek, rzeczniczka PiS, ochrzaniła prezydenta, żeby rozmawiał z ministrem paszczą zamiast „wymieniać kurtuazyjne listy, z których wynika tylko to, że potem się musimy tłumaczyć, czy tam iskrzy, czy tam nie iskrzy”. W imieniu prezydenta odpowiadał Marek Magierowski, insynuując Mazurek analfabetyzm: „Według prezydenta Andrzeja Dudy pisemna forma kontaktu między urzędami zazwyczaj nie odpowiada tym osobom, które mają problem z czytaniem; ten brak można uzupełnić w szkole”. A nazajutrz, również w imieniu prezydenta, Magierowski dołożył uwagę, że „pani poseł Mazurek w swojej wypowiedzi przekroczyła te granice, których nie powinno się przekraczać, gdy się ko-

Prezydent Duda jest dobry na memach, nie w polityce.

Truteń z Belwederu



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

mentuje działalność głowy państwa”. Mazurek odpowiedziała, że odpowie Magierowskiemu osobiście, a nie przez media, i wyglądało, że na tym ten wątek telenoweli się skończył. Ale pojawił się nowy.

Kombatanci bez grochówki

29 kwietnia Duda udał się, jako pierwszy prezydent w dziejach, na pole chwały I Armii Wojska Polskiego w Starych Łysogórkach, gdzie ogłosił, że „nie wolno dzielić żołnierskiej krwi” – tekstem, którym przez ostatnie dekady posługiwali się kombatanci niesłusznego wojska, domagający się niewyrzucania ich z historii. Obstawiam, iż Duda uznał, że ukłon w stronę zwalczanych przez obecny MON kombatantów da mu jakieś punkty w jego prywatnej wojnie z Macierewiczem – choć oczywiście niewykluczone, że przyjmując zaproszenie, po prostu nie wiedział, o którą armię chodzi. Tak czy inaczej, później najwyraźniej zląkł się własnej decyzji – i, niepomny ludowej mądrości „nie bądź facetem, który szura krzesłem, żeby zatrzeć fakt, że pierdnął w towarzystwie”, zamiast iść w zaparte, zaczął intensywnie naprawiać błąd, co sytuację oczywiście pogorszyło.

I tak według pierwotnego planu uroczystości po prezydencie miał przemawiać przedstawiciel niesłusznym weteranów płk Szyszkowski – jednak na miejscu okazało się, że czasu dla niego nie ma, bo głos muszą zabrać Brudziński i Anna Maria Anders. Czerwoni kombatanci najpierw zostali zaproszeni na obiad z prezydentem, potem wyszło, że zaproszona jest tylko delegacja, aż w końcu wszyscy usłyszeli, że z obiadu nici. I do tego, żeby nie rzucali się w oczy, kazano im truchtać do autokarów daleko poza zasięgiem kamer, co w przypadku kolektynu o średniej wieku 90 lat było pomysłem odważnym.

„Nie akceptuję honorowania LWP i PRL, tej niezgodnej z prawdą historyczną nowomowy III RP” – ogłosił szafaż prawdy historycznej Sławomir Cenckiewicz, autor tezy, że „żołnierze 1. i 2. Armii Wojska Polskiego nie

są Wojskiem Polskim”, a ich szlak bojowy „nie jest częścią historii oręża polskiego”. Cenckiewicz jest też – co zdaje się w tym kontekście szczególnie istotne – bliskim współpracownikiem Macierewicza, pełnomocnikiem ministra obrony narodowej ds. reformy archiwów wojskowych i p.o. dyrektora archiwów. Skarcony w ten sposób prezydent już nazajutrz postanowił dać wyraz swojemu bezkompromisowemu antykomunizmowi, wygłaszając słynny tekst o zakłamujących historię „dzieciach i wnukach zdrajców Rzeczypospolitej”. Podejrzewam jednak, że oprócz wyznania antykomunistycznej wiary była w tym doborze słów także osobista złośliwość: dziadek Sławomira Cenckiewicza był funkcjonariuszem Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, ponoć nawet prześladował jakichś niezłomnych, a potem został dyrektorem „Grandu” w Sopocie na etacie niejawnym SB. Skłonna jestem podejrzewać, że Duda chciał wetknąć szpilę Cenckiewiczowi i nie przemyślał do końca, co się stanie, gdy Prezydent RP oskarży wnuka za winy dziadów – ten brak wyobraźni jest dla aktualnej głowy państwa typowy.

Zawrót głowy w Belwederze

A potem, gdy wreszcie pojął, iż usiłując wygrzebać się z dołka, zakopał się jeszcze głębiej, spróbował zmienić ton kompletnie i dokonać aktu strzeлистego swojej prezydentury, jednocześnie zdobywając punkty u preza – i stąd jego inicjatywa konstytucyjna. Uczciwie mówiąc, trudno zrozumieć, jak prezydent mógł nie wiedzieć, że prezes nie lubi spontanicznych inicjatyw, które nie były z nim uprzednio ustalone. O tym, że takich ustaleń nie było, przekonują wtajemniczeni prawnicy publicyści – np. Piotr Zaręba w ostatnim „wSieci” – świadczy też o tym nader chłodna reakcja partii.

Może to być kolejny dowód na to, jak dalece kompetencje polityczne głowy państwa nie dorastają do jego stanowiska – ale może też być przejawem znacznie poważniejszego, z punktu widzenia PiS, problemu.

Otóż

Duda po dwóch latach prezydentowania mógł naprawdę uwierzyć, że jest prezydentem. Oczywiście nie prezydentem niezależnym od preza – ale w pewien sposób mu równym, wspólnie z nim kierującym Polską, jego partnerem. Ten pomysł oczywiście należało natychmiast ukrócić: PiS funkcjonuje na zasadzie roju, w którym Kaczyński pełni funkcję królowej. Pszczoły robotnice mają w tym roju swoje zadania i ich osobista inicjatywa nie jest przewidziana w Wielkim Planie Ula.

(Nawiasem mówiąc, w mojej opinii to jest właśnie przyczyna, dla której Prawo i Sprawiedliwość z żelazną konsekwencją obsadza wszelkie stanowiska osobami niekompetentnymi: kompetencja pozostaje z konflikcie ze sterownością, zwłaszcza przy realizacji planów, które mają, delikatnie mówiąc, wątpliwy charakter).

W każdym razie rój zareagował na konstytucyjną inicjatywę prezydenta w sposób w pełni zgodny z życzeniami królowej, czyli z lekceważeniem. Usłyszeliśmy mniej więcej tyle, że PiS od dawna mówi o zmianie konstytucji – znaczy prezydent nie zrobił niczego wbrew partii – ale ta akurat inicjatywa jest równie niepoważna jak jej autor. „Aby zmienić konstytucję, trzeba mieć odpowiednią większość w parlamencie, zapowiedź pana prezydenta odczytuję raczej jako wolę rozpoczęcia dyskusji na ten temat” – ucie-

ła dyskusję Szydło, dodając zawołowaną groźbę: „Mam ten komfort, że bardzo dobrze mi się współpracuje z prezydentem Dudą, ale bywają sytuacje, gdy nie jest wyraźnie dookreślone, co należy do czyich kompetencji. To jeden z przykładów warty dyskusji przy okazji debaty nad możliwymi zmianami konstytucji”. Znaczący: nie fikaj, bo ci zabierzemy nawet ten gryzek kompetencji, które masz.

Duda uciszony

Niewykluczone, że jedyną osobą w obozie „dobrej zmiany”, która tego nie rozumiała, jest sam Duda. Być może powinien zapytać o opinię Magierowskiego, który w równo tydzień po swoim zwarcu z Mazurek znalazł honorowe wyjście z beznadziejnej sytuacji, udając się na emigrację wewnętrzną z przyczyn osobistych. Choć oczywiście to jest wersja oficjalna – tak naprawdę nikt nie wie na pewno, czy Magierowski nie został zmuszony do odejścia. Prezes lubi, gdy jego podwładni przeżywają publiczne upokorzenia – to przypomina im o ich miejscu w szeregu – ale zachowania, które noszą w sobie choćby ślad niesubordynacji, zwalczane są z całą surowością. Trudno zatem wykluczyć, że odejścia Magierowskiego zażądał od Dudy Kaczyński, który uznał, że wycieczki rzecznika prezydenta pod adresem rzeczniczki partii stanowią niedopuszczalny przejaw samowoli.

Tak czy inaczej po swoim wielkim konstytucyjnym gambicie prezydent znalazł się w pozycji jeszcze słabszej niż przedtem – co wydawało się doprawdy niemożliwe. Partia odcięła się od niego z nieprezentowaną wcześniej otwartością, Kaczyński karze go milczeniem, nawet nie odnosząc się do jego rewolucyjnej inicjatywy, w oczach opozycji osiągnął nowe dno – już nie tylko jako prezydent, który łamie konstytucję, ale taki, który chce ją ukrąść, a do tego stracił najinteligentniejszego urzędnika swojej kancelarii. Dobra robota, Panie Prezydencie. □

awl@redakcja.nie.com.pl

Hańba trzeciomajowa

O tym, że Konstytucja 3 Maja wcale nie była drugą na świecie, nie była też nowoczesna ani demokratyczna, za to stała się największą tragedią narodu polskiego, „NIE” rozmawia z **prof. JACKIEM MATUSZEWSKIM**, kierownikiem Katedry Historii Państwa i Prawa Polskiego, Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego.



Fot. ANDRZEJ ROZENEK

– **Dumnie obchodzimy co roku święto Konstytucji 3 Maja, aktu stanowiącego nowoczesne państwo polskie, a Panu to się nie podoba?**

– Wciąż słyszymy o Konstytucji 3 Maja te wzniosłe słowa o ratowaniu ojczyzny i tak dalej. Tylko że w ogóle nie o to chodziło. 2 lata wcześniej, w 1789 r. w Paryżu rozpoczęła się rewolucja francuska. Arystokracja ucieka, księżę się rżnie, szykuje się jakobinizm, przewraca się dotychczasowy porządek. A polska szlachta niby myśli o reformie państwa? Żeby było wszystkim dobrze?

– **Oni myślą o ratowaniu swoich czterech li-
ter?**

– Tak! I to jest właśnie Konstytucja 3 Maja. Reformy państwa rozpoczęto wcześniej w 1764 r. od czasu, gdy na tron wstąpił Stanisław August, a raczej wsadziła go caryca Katarzyna. W 1768 r. ustanowiono Prawa Kardynalne, w których są podstawowe zasady ustrojowe. I to jest konstytucja w naszym dzisiejszym rozumieniu.

– **A jest inne rozumienie tego pojęcia?**

– Tak, i to jeszcze bardziej komplikuje sprawę. W państwie szlacheckim konstytucją nazywano każde prawo, każdą ustawę sejmową. Były uniwersały, czyli ustawy podatkowe, i konstytucje, czyli wszystkie pozostałe. My posługujemy się terminem konstytucja w tym jednym oświeceniowym znaczeniu, tymczasem dla nich konstytucją był dowolny akt uchwalony przez Sejm. Każdy akt, nawet taki o wynagrodzeniu starosty oświęcimskiego albo o tym, że na dziurawych drogach nie pobiera się opłat od furmanów. Nawiasem mówiąc, Konstytucja 3 Maja została uchwalona nielegalnie...

– **To znaczy?**

– Po pierwsze obowiązywała rozsądna zasada, że każdy akt, którym ma się zajmować Sejm, ma być dostarczony posłom na 3 dni wcześniej. Wcześniej praktyka była taka, że posłowie uchwalali coś, jakieś konstytucje, a później dopiero to było spisywane. Rozumie pan, jakie były tego konsekwencje?

– **Nie poznawali tego, co uchwalili?**

– Dokładnie. Dochodziło nawet do takich sytuacji, że po Sejmie wszystkie konstytucje przezeń uchwalone palono, a na następnym Sejmie wszystko odwoływano. Całe dzieło Sejmu 1658 r. kolejny Sejm uchylił. Mówię o tym, żeby podkreślić, jakie znaczenie miał obowiązek zaprezentowania tekstu 3 dni przed jego uchwaleniem...

– **Tak samo jak teraz, zdarza się, że posłowie otrzymują akt prawny na kilka godzin przed głosowaniem i nie bardzo wiedzą, za czym głosują...**

– Poseł musi wiedzieć, za czym głosuje, a w przypadku Konstytucji 3 Maja większość nie znała tekstu. Sejm był nielegalnie przedłużony. Nielegalnie powiększono jego skład. Po dwóch latach próżnego gadania, gdy nic nie uchwalili, postanowili dobrać dodatkowych posłów, po to by tzw. patrioci mieli przewagę. Ale nie mieli, bo tego Sejm był skonfederowany, uchwały w związku z tym zapadały większością głosów. Nie było wymogu jednogłośności. Oczywiście, jak to w państwie szlacheckim, złożono natychmiast protest w tej sprawie. Protest nieskuteczny, bo ci, którzy chcieli Sejmu skonfederowanego, mieli większość.

– **Czy Sejm wtedy był wszechwładny?**

– Sejm przejął całkowitą władzę w państwie. Na początku zlikwidował Radę Nieustającą, która była w istocie znakomicie, sprawnie działającym rządem. Nazywali ją wtedy Zdradą Nieustającą, carycy Katarzynie na złość, bo to na jej polecenie rada powstała. Gdy popsuli radę, to przez 4 lata rządził Sejm, czyli, delikatnie mówiąc, była bezholowość. Wracając do samej konstytucji... Mamy okres Wielkiej Nocy, szlachta rozjechała się do domów, uprzednio ustalając, że ponownie spotka się 5 maja. Ale po cichu swoim powiedziano: przyjdźcie 3 maja. Zebrano wojsko, wytoczono armaty, na galerię wpuszczono specjalnie dobranych mieszczan, kibiców, jakbyśmy to dzisiaj nazwali. To wszystko musiało robić wrażenie. Obrady, jak opisują, trwały około ośmiu godzin. Oszukiwano zebranych, np. odczytano depesze sprzed dwudziestu lat, przedrozbiorowe, ze stolic europejskich, np. z Wiednia, że grozi nam wejście obcych wojsk. Ci związani z obozem królewskim jęczeli, że biedna ojczyzna, co to będzie, trzeba coś zaradzić. No i któryś z nich mówi, że król akurat ma projekt. Najjaśniejszy panie, ratuj ojczyznę, ratuj nas przed zagładą!

– **Czyli to król przyniósł projekt?**

– Król łaskawie. To było byle jak napisane. Poziom legislacyjny wówczas był oczywiście marny, a to jest wyjątkowo źle napisane, na kolanie. Dużo wzniosłych słów, mało precyzji. Doszło oczywiście do rozróby. Np. poseł kaliski Jan Suchorzewski przeprowadził kilkuletniego syna, nóż mu przyłożył do gardła i groził, że go zabije. Nie chcę, żeby dziecko żyło w takim uci-

sku – krzyczał. Furiata złapali, zabrali mu nóż. Dziecko podobno ze strachu zmarło.

– **A jak przebiegało głosowanie?**

– Głosowania w zasadzie nie było. Król podniósł rękę, bo chciał coś jeszcze powiedzieć, a wtedy ktoś krzyknął: „Król jest za konstytucją!”. Zwolennicy konstytucji, wcześniej zresztą zaprzysiężeni, że będą za nią głosować, zakrzyczeli wszystkich. Marszałek Sapieha, który miał wątpliwości, chciał protestować, został wzięty na ręce i pod hasłem „Niech żyje marszałek!” podrzucano go do góry.

– **Było głosowanie?**

– Nie, nie było. Mówi się, że konstytucję przyjął przez aplauz. Były jednak protesty, to nie jest wręcz aplauz. Podoba się to panu? To jest demokracja?

– **Ale konstytucja wprowadziła elekcję króla, taki pierwowzór wyborów...**

– No to sięgnijmy do źródła. Artykuł VII – Król władza wykonawcza: „Tron polski elekcyjnym przez familie mieć na zawsze chcemy i stanowimy”. Co to jest?

– **Elekcja.**

– Niby tak. Ale dalej czytamy: „Doznane kłęski bezkrólówiów, periodycznie rząd wyracających, powinność ubezpieczenia losu każdego mieszkańca ziemi polskiej, i zamknięcie na zawsze drogi wpływom mocarstw zagranicznych, pamięć świetności i szczęścia Ojczyzny naszej za czasów familii ciągle panujących, potrzeba odwrócenia od ambicji tronu obcych, i możnych Polaków, zwrócenia do jednomyślnego wolności narodowej pielęgnowania, wskazały roztropności naszej oddanie tronu Polskiego prawem następstwa”. Czyli dziedziczenie. Następstwo rodziny, syn po ojcu, dopiero jak nie ma syna, wybierany jest następca.

– **Król chciał mieć też coś z tego.**

– Ależ miał. Zasiadał na Straży Praw – takie rzekomo nowożytnie rozwiązanie w miejsce Rady Nieustającej. Podkreślm, że zastrzeżono, iż zmiana konstytucji może się dokonać raz na 25 lat. A tu już 18 maja niezgodnie z zapisami Konstytucji 3 Maja do Straży Praw powołano Sapiehę – marszałka Konfederacji Litewskiej. 2 tygodnie minęły i już złamali konstytucję. Na do-datek Straż Praw, w przeciwieństwie do Rady Nieustającej, wcale nie była organem kolegialnym. Rządził król z kontrasygnatą jednego z pięciu ministrów. „Wszystkie rezolucje w Straży roztrząsane będą przez skład wyżej wspomniony,

decyzja królewska po wysłuchanych wszystkich zdaniach przeważać powinna, aby jedna była w wykonaniu prawa wola. Przeto każda ze Straży rezolucya pod imieniem królewskim i z podpisem ręki jego wychodzić będzie”. W razie czego za decyzję króla odpowiedzialność ponosił jednak minister.

– **Może początki muszą być trudne, w końcu to druga konstytucja na świecie...**

– A skąd pan to wie, że druga?

– **Tak mnie w szkole uczono...**

– No więc na pewno amerykańska jest wcześniejsza. Ale w Stanach poszczególne kolonie miały swoje konstytucje już sto lat wcześniej. Nazywało się to karty, kilka przyszłych stanów, kolonii, rządziło się na podstawie czegoś, co ja bym śmiało nazwał konstytucją.

– **No, ale nasza była pierwsza w Europie...**

– Szwedzi mieli kilkanaście lat wcześniej akt prawny tego rodzaju, ale oni nie czują potrzeby, by to eksponować. A poza tym mamy artykuły henrykowskie z 1573 r., to jest nic innego jak akt rangi konstytucyjnej. Opis ustroju państwa szlacheckiego. Dokładnie to, kim jest król, co mu wolno, a czego nie, co to jest Sejm, kiedy się zbiera, jakie są sądy, jaki jest zakres tolerancji religijnej. Wtedy na króla wybrano Henryka Walezego, monarchę z zupełnie innego ustroju. Przygotowano mu w postaci artykułów henrykowskich opis ustroju państwa, którym ma rządzić. Cóż to jest jak nie konstytucja? Uchwalone w 1768 r. prawa kardynalne też są rangi konstytucyjnej. Czemu nie mówimy, że to jest konstytucja? Bo prawo uchwalono pod protekcją carskiego ambasadora?

– **Konstytucja 3 Maja służyła konkretnej warstwie społecznej?**

– Opowiadanie o tym, że szlachta to obrońcy ojczyzny, twórcy ustroju, sądów itp. to bzdura. Od czasu jak szlachta dorwała się do władzy, wszystko, co robiła, służyło ochronie przed jakimikolwiek powinnościami wobec państwa czy króla. Chciała doić państwo, w zamian nie dając nic. Pospolitego ruszenia praktycznie nie zwoływano, podatki obciążały chłopów, mieszczan, a nawet Kościół, ale nie szlachtę. Ja ich nazywam pasożytami, bo oni na państwie pasożytowali.

– **Jakie były wówczas proporcje szlachty do reszty społeczeństwa?**

– Niektórzy przyjmują, że to było 10 procent. Wydaje mi się, że to za dużo, realnie było ich między 4 a 7 procent i to jest zbliżone do grupy, która mogła aktywnie korzystać ze swoich praw.

Prof. zw. dr hab. Jacek Matuszewski

– kierownik Katedry Historii Państwa i Prawa Polskiego, Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego.

Urodzony w Poznaniu, karierę zawodową związał z Uniwersytetem Łódzkim, gdzie ukończył studia prawnicze (studiował też historię), doktoryzował się (1976) i habilitował (1983). Od 1985 r. kieruje Katedrą Historii Państwa i Prawa Polskiego. Od 1992 r. profesor zwyczajny. W latach 2000–2012 kierował Katedrą Historii Ustroju i Prawa Polskiego w Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie.

– **Czyli akt prawny ustanowiony dla garstki. Naprawdę nie ma nic dobrego w Konstytucji 3 Maja?**

– Nie umiem niczego takiego wskazać. Doszło do przestępstwa ustrojowego. To był zamach stanu, a to już wystarczy, aby z ostrożnością do tego aktu podchodzić.

– **A w kategoriach geopolitycznych jak trzeba na to patrzeć?**

– Konstytucja 3 Maja była aktem antyrosyjskim. Po pierwszym rozbiórze Polska, choć okrojona, była jednak dużym państwem. Caryca nie chciała pierwszego rozbioru, bo trzymała łapę nad całą Polską. Z punktu widzenia państwa rozsądniejsze było zachować całość pod patronatem Rosji, no ale myśmy się buntowali, szukając poparcia u innych mocarstwach. Pierwszy rozbiór był ostrzeżeniem: co się dzieje, jak się carycy pluje do zupy. Niestety nie zrozumieliśmy. Zawarliśmy przymierze z Prusakami, chociaż wiadomo było, że król pruski bardzo chce Gdańską, Torunię i Wielkopolskę. Szlachta naiwnie myślała, że wszyscy nas kochają za darmo. Tymczasem caryca Katarzyna, jak wiadomo Niemka, o wszystkim była informowana. Twórców Konstytucji 3 Maja zdawało się, że korzystając z kłopotów Rosji z Turcją i Szwecją, przy poparciu Prus, uda się wyzwolić spod protektoratu carycy. A w Polsce nawet porządnej armii nie było. Co prawda Sejm uchwalił konstytucję o stutysięcznej armii, szlachcie nawet się wydawało, że skoro jest uchwała, to wojsko samo się nagle pojawi, ale przecież tak nie było. W obliczu zagrożenia Sejm wreszcie uchwalił podatki obejmujące szlachtę, ale oni sami deklarowali dochody, więc strasznie przy tym kantowali...

– **Byliśmy bezbronni i naiwni, pewnie więc i tak by się to źle skończyło?**

– Caryca zmarła w 1796 r. Wystarczyło pocze-kać 5 lat, siedzieć cicho, nie eksponować swojego głupiego nieuzasadnionego patriotyzmu, który był dla Rzeczypospolitej zabójczy. Przed drugim rozbiorem to państwo było wciąż geograficznie potężne. Następca Katarzyny lubił Polaków, dał tego niejednokrotnie dowody. Tylko Rzeczypospolitej już nie było. Zbliżały się czasy napoleońskie, potem Kongres Wiedeński, restytucja tego, co było przed Napoleonem. Gdyby nie Konstytucja 3 Maja, żylibyśmy cały wiek XIX we własnym państwie. Powstanie nowoczesnych narodów w Europie to był XIX wiek. I tego nam dzisiaj brakuje, będziemy to jeszcze długo odrabiać. Nie byłoby germanizacji, rusyfikacji, powstań... Ile krwi, ile żywołów straciliśmy.

– **Ale czy wobec niewątpliwej słabości państwa polskiego i tak by nie doszło do kolejnych rozbiorów? Niezależnie od Konstytucji 3 Maja?**

– Nie. Proszę zrozumieć: to Rosja była gwarantem naszej państwowości. A myśmy jej podskakiwali bez możliwości realnej obrony. Mogłiśmy być państwem pod rosyjskim protektorem albo stracić państwo na rzecz trzech zaborców. Przecież pod panowaniem Stanisława Augusta była Polska, chyba nikt nie ma wątpliwości?

– **To gdybanie, a konstytucja jest historycznym faktem...**

– To proszę odpowiedzieć, czy Konstytucja 3 Maja spełniła zadanie do jakiego była stworzona? Czy uratowała państwo przed upadkiem?

– **Nie uratowała.**

– A co przyniosła? Likwidację państwa. Konstytucja 3 Maja pozbawiła nas państwa. Czy naród może spotkać większe nieszczęście? A my fundujemy pamiątkę tragedii narodowej, czyli Świętynię Opatrzności Bożej. Niech szlachta za to płaci, współczesna arystokracja! Co taki człowiek chamskiego pochodzenia jak ja ma z tym wspólnego?

Rozmawiał
ANDRZEJ ROZENEK
andrzej.rozenek@redakcja.nie.com.pl

Świecone fiuty

Gdy dziecko lgnie, szuka i wciąga księdza w grzech.



„Pedofilia w Kościele jest jak czarna msza” – grzmiał papież Franciszek. I wydał wytyczne. Według nowych zasad Watykan, biskupi ani inni duchowni nie są zobligowani, aby zgłaszać przypadki molestowania dzieci przez księży. Taki obowiązek powinien spoczywać tylko na barach ofiar i ich rodzin, którym ewentualnie można wypłacić odszkodowanie. Ewentualnie.

W Polsce zgłaszanie pedofilskich zachowań księży jest uważane za donosicielstwo.

W liście do wiernych bp Antoni Dydycz napisał, że „atakuje się Kościół i za to, że jego przedstawiciele nie są donosicielami i nie przekazują informacji na temat pedofilii do odpowiednich instancji”. Donosić więc biskupi nie będą. Bo to nieładnie. Bo przecież „sprawa pedofilską była na świecie, jest i będzie. Żadna siła nie powstrzyma człowieka od tego, żeby korzystać z możliwości, jakie daje człowiekowi wolna wola i do czego go pchają namiętności” – zapewnia biskup Pieronek.

Jednostkowa ofiara

Darek dziś jest dorosłym facetem. Współpracuje z fundacją „Nie lękajcie się” pomagającą ofiarom księży pedofilów.

Plebania to było środowisko naturalne małego Darka. Jego matka była gospodynią księdza. Uważała, że będzie najlepszym przykładem dla jej syna, zanim ten pójdzie do seminarium.

Darek często spał na plebanii, szczególnie gdy zamieszkał w internacie. Na plebanii było bardziej domowo.

Kiedyś ksiądz przyszedł do niego w nocy i zaczął go dotykać, a sam w tym czasie się onanizował. Z każdym tygodniem było gorzej. Wreszcie przyszedł w nocy i go zgwałcił. Darek udawał, że śpi, był odwrócony do niego tyłem.

Trwało to kilka lat. Wreszcie Darek był na tyle duży, aby wyjechać z miasta.

– Informowałem biskupa. Zadzwoiłem do niego, anonimowo opowiedziałem o wszystkim. Nakrzyczał na mnie, że myślałem. Koszalińskim biskupem był wtedy Hoser.

Dziś mówi o tym, co go spotkało. Przeszedł terapię. Matka do dziś ma do niego pretensje, że mówi „takie rzeczy” o księdzu.

Wytyczne

– Wytyczne z Watykanu mają niewiele wspólnego z tym, co się u nas dzieje – mówi anonimowo ksiądz. – My też mamy wewnętrzne wytyczne.

Zmęczyć, znudzić i otumanić – oto, co mają robić przełożeni, gdy zgłosi się do nich ofiara księdza pedofila. Konkretnie:

– Zrobić wszystko, żeby go zniechęcić do wniesienia oskarżenia i tak poprowadzić rozmowę, żeby był pewny, że to on nakłonił swoim zachowaniem księdza do zachowań seksualnych.

Nie używać określenia: „pedofilia” – podstawą jest nie używać tego słowa. Przytulił, pogłaskał, wziął na kolana, dał ciepło itd. Byle nie pedofilia.

Gdy Marcin K., zgłosił się do biskupa ze swoją historią, został potraktowany jak wróg, a nie ofiara. To było przesłuchanie. Zaczynało się od pytań, czy chodzi do spowiedzi, dlaczego się rozwiódł i jakie praktyki seksualne uprawiał w dzieciństwie. Gdy powiedział, że jedyne praktyki to molestowanie przez księdza, usłyszał, że kłamie, bo przecież na pewno oglądał filmy pornograficzne.

Siatka księży pedofilów

W oficjalnych oświadczeniach Episkopatu Polski padają stwierdzenia, że przypadki pedofilii w Kościele to sytuacje jednostkowe i nie jest ich więcej niż w szkołach, internatach czy ośrodkach wychowawczych. Nieprawda.

W szkole zorganizowanie siatki pedofilskiej byłoby niemożliwe, a w diecezjach kwitnie ten proceder od lat.

Proboszcz ks. Piotr T. z D. (województwo pomorskie, diecezja pelplińska) został prawomocnie skazany na 4 lata więzienia za molestowanie seksualne 15-letniego ministranta oraz jego dwóch kolegów. Opowiedzieli, co robili z nimi ksiądz i jego znajomi z innych pomorskich parafii. Ksiądz stworzył sobie harem ministrantów dostępny dla innych księży. Najmłodsza z ofiar miała 11 lat. W toku śledztwa wyszło na jaw, że przed awansem na proboszcza ks. T. był wikariuszem parafii św. Katarzyny Aleksandryjskiej w S., gdzie też patronował siatce pedofilskiej wykorzystującej seksualnie ministrantów. Okazało się, że chłopcy byli faszzerowani narkotykami podawanymi w soku owocowym i wykorzystywani seksualnie. Nierzadko grupowo. Gdy jeden z ministrantów powiedział, że o wszystkim powie policji, ks. T. nakłaniał go do popełnienia samobójstwa. Wielokrotnie namawiał go, żeby się powiesił albo połknął środki nasenne. Sąd Okręgowy w Słupsku skazał księdza za wielokrotne nakłanianie ministranta do popełnienia samobójstwa, aby cały proceder nie wyszedł na jaw. Chłopcy rozpoznali tylko trzech wykorzystujących ich księży. Reszta, dojeżdżająca z innych parafii, uniknęła kary i zapewne bawi się nadal.

Ks. Jerzego U., proboszcza parafii w Słownie (diecezja koszalińsko-kołobrzewska), zatrzymano w maju 2003 r. Podczas przeszukiwania plebanii policjanci znaleźli płyty DVD i kasety z filmami pornograficznymi. Śledztwo wykazało, że onanizował się przy dzieciach, obmacywał je i proponował usługi seksualne w zamian za drobne kwoty.

Jeden z ministrantów, 12-latek, zeznał, że ksiądz wkładał mu rękę do majtek, a potem ją wahał oraz lizał bądź zmuszał go do chodzenia nago i na czworakach po pokoju. Często zapraszał na te imprezy innych duchownych.

Chłopcy ich nie znali. Jeden miał swojego kierownika. Ksiądz dostał 2 lata więzienia w zawieszeniu i 5-letni zakaz pracy z dziećmi. Jego kolegów nikt nie szukał.

Kanonik ks. mgr Krzysztof C., sędzia Lubelskiego Sądu Metropolitarnego i członek Komisji Bioetycznej przy Okręgowej Radzie Lekarskiej, trafił przed oblicze sądu dzięki niemieckiej policji, która rozpracowywała międzynarodową szajkę pedofilów. Byli w niej też inni polscy księża katolicy, ale polska policja nie próbowała ich szukać.

Ks. Wincenty P., wikariusz parafii w Witoni (diecezja łowicka), zwabił na plebanię chłopców. Głównie częstował ich cukierkami, a dzieciom z rodzin najbiedniejszych oferował obiad. Potem wymuszał na nich współżycie seksualne. Często „wypożyczał swoje dzieci” innym księ-

żom, którzy albo przyjeżdżali do niego na imprezkę, albo zabierali chłopców „do wesołego miasteczka”. Zabawy z dziećmi P. nagrywał, po czym przysyłał filmy kolegom. O procederze wiadano w kurii, ale pedofil został zdemaskowany i osądzony wyłącznie dzięki determinacji dziennikarzy.

W Warnicach (archidiecezja szczecińsko-kamieńska) ks. Jacek C. „organizował” spotkania księży z niepełnosprawnymi chłopcami z ośrodka terapeutycznego. Skazany został tylko on, gdyż tylko jego nakryto na tym, jak onanizuje jednego z upośledzonych chłopców. Reszta kolegów uniknęła kary, bo chłopcy nie potrafili złożyć zeznań, a opiekujące się nimi zakonnice nabrały wody w usta.

W trakcie wspomnianego procesu kuria schowała ks. C. w Kamieniu Pomorskim, gdzie w dalszym ciągu był katechetą. Sąd Rejonowy w Choszczynie skazał pedofila na 1,5 roku więzienia w zawieszeniu na 3 lata oraz 5-letni zakaz wykonywania zawodu nauczyciela. Po wyroku przerzucono go do Dobrej Nowogardzkiej. W charakterze katechety.

Wielkie Bóg zapłać

Często w trakcie postępowania prokuratorskiego czy sądowego księży pedofile są chronieni przez przełożonych. Dzięki działaniom biskupów przez długie lata nie można sprawcom postawić zarzutów lub wpakować ich do więzień.

Ks. Mirosław W. z archidiecezji lubelskiej, będąc wikariuszem parafii pw. Chrystusa Króla w T., m.in. „wkładał nogę dziecku pod sutannę i onanizował się jego stopą” – czytamy w akcie oskarżenia. Dziewczynka miała zaledwie 10 lat. Przez wiele miesięcy nie można było księdzu przedstawić zarzutów, ponieważ abp Józef Zieliński wysłał go na „urlop zdrowotny”.

Ks. Zbigniew P., proboszcz parafii św. Bartłomieja w J. (diecezja opolska), skazany na rok więzienia w zawieszeniu na 3 lata za to, że sprawował sobie na plebanię 11–13-letnich chłopców z Domu Dziecka w C. oraz „całował ich w usta, obmacywał po udach, pośladkach i narządach płciowych, a jednego z nich onanizował”. Dłu-



go nie mógł zostać ukarany, bo jego przełożeni „leczyli go z silnej depresji uniemożliwiającej branie czynnego udziału w postępowaniu”.

Ks. Krzysztof K. był proboszczem parafii św. Jakuba Apostoła w Mechowie (archidiecezja gdańska). Sąd Rejonowy w Wejherowie skazał go za gwałcenie 14-letniej dziewczynki. Uchyłono mu jednak areszt ze względu na stan zdrowia. Wyszedł i zniknął. Jest poszukiwany, chociaż jego przełożeni wiedzą, gdzie jest. Na stronie internetowej diecezji wrzucili uspokajający komunikat, że „szanowany kapłan” żyje, ale przebywa „poza diecezją”. Dodali też podziękowania: „W imieniu ks. Krzysztofa dziękujemy za okazane wsparcie modlitwne i materialne. Zebraliśmy dla niego ok. 19 tys. zł. Wielkie Bóg zapłać!”.

Głośna była też historia ks. Pawła Kani, który przez 10 lat wykorzystywał seksualnie dzieci, a mógł to robić bezkarnie dzięki wsparciu kurii biskupiej i jej ochronie. Biskupi wiedzieli o molestowaniu i o gwałceniu chłopców. Reagowali w sposób oczywisty – przenosili księdza do innej parafii. Gdy tam też wykorzystywał seksualnie chłopców, znowu przenoszono go gdzie indziej. I tak przez 10 lat. Ofiar były dziesiątki.

Z dziećmi na zakazie

Przykłady księży, którzy zostali skazani za pedofilię i mają sądowy zakaz kontaktu z dziećmi, a którzy nadal sprawują opiekę duszpasterską nad dziećmi, można mnożyć. Pisaliśmy o takich sytuacjach wielokrotnie.

W Wiązowie na Dolnym Śląsku proboszczem jest ks. Edward. W 2003 r. za molestowanie ministrantów został skazany na 1,5 roku więzienia w zawieszeniu na 4 lata. Wyrok uległ zatartciu, ks. Edward rządzi parafią i – jak mówi – „jego celem jest przyciągnięcie do Kościoła ludzi młodych”. Uczy dzieci.

Ks. Grzegorz K. z parafii w warszawskim Tarchominie zarzuty pedofilii usłyszał już w 2011 r. Również jego przełożeni z kurii warszawsko-praskiej dowiedzieli się wtedy o całej sprawie, jednak nie odsunęli oskarżonego od pełnienia funkcji proboszcza. Jeszcze długo rządził parafią, wyjeżdżał z dziećmi na wycieczki i prowadził katechizację. W szufladzie biurka miał zeszyt, w którym notował imiona i inicjały nazwisk chłopców, a przy nich plusy. Plus to akt seksualny. Przy każdym było ich wiele. Nazwisk było kilkaset. Jeszcze przez 4 lata od chwili oskarżenia o pedofilię Grzegorz K. uczył dzieci i był proboszczem w parafii.

Ks. Roman K. z archidiecezji warmińskiej pojechał do USA, aby wesprzeć parafię polonijną w pracy duszpasterskiej. Zgwałcił tam dziewczynkę. Gwałt był „terapeutyczną metodą, aby pomóc jej zapomnieć traumatyczne doświadczenia z przeszłości” – tłumaczył przed amerykańskim sądem. Po odsiedzeniu dziewięciu miesięcy w więzieniu został deportowany do Polski. Do więzienia nie trafił z powodu złego stanu zdrowia. Metropolita abp Wojciech Ziemia skierował go do parafii w Wielbarku, gdzie był nauczycielem religii w miejscowym gimnazjum.

Gdyby nie ofiary, nie byłoby pedofilów

„Wiele tych molestowań udało się uniknąć, gdyby te relacje między rodzicami były zdrowe. Słyszmy nie raz, że to często wyzwała się ta niewłaściwa postawa, czy nadużycie, kiedy dziecko szuka miłości. Ono lgnie, ono szuka. I zagubi się samo i jeszcze tego drugiego wciąga” – mówił Józef Michalik.

Ks. Aleksander Ogrodnik ze Zgromadzenia Michalitów, pytany o pedofilię w związku ze sprawą ks. Wojciecha Gila, stwierdził, że to „gorący klimat tak wpływa na człowieka”.

JOANNA SKIBNIEWSKA

askibniewska@redakcja.nie.com.pl

Wieści z kruchty

➤ Fundacje Lux Veritatis i Nasza Przyszłość już rok odmawiają organizacji porządowej Sieci Obywatelska Watchdog Polska udostępnienia informacji o pieniądzach, które dostają z budżetu państwa. Choć zgodnie z obowiązującym prawem wszystkie podmioty, które dysponują środkami publicznymi, są zobowiązane do udzielenia informacji o ich wydatkach czy sposobie wykorzystania. Watchdog Polska właśnie dowiedziała się od ojca Rydyzka, że Lux Veritas i Nasza Przyszłość na pytania odpowiedzi nie udzieli, bo są powiązane z „podmiotami zagranicznymi o nie w pełni transparentnej proveniencji”. Sprawa jest zrozumiała,

gdyż obie fundacje należą do ojca dyrektora doktora Tadeusza Rydyzka, a jego akurat w kraju rządzonym przez Prawo Sprawiedliwość jest to, że Rydyżk dostaje kasę od państwa.

➤ Minister Jan Szyszko poprzez dyrekcję Lasów Państwowych właśnie wyasygnował 120 tys. zł na konferencję „Jeszcze Polska nie zginęła – wieś”. Konferencja odbędzie się 13 maja w hali widowiskowo-sportowej Arena w Toruniu, a jej organizatorem jest Wyższa Szkoła Kultury Społecznej i Medialnej należąca do ojca Tadeusza. W programie konferencji, na którą autokarami mają zostać zwiezieni leśnicy z całej Polski, są następujące wystąpienia: „Filozoficzne podstawy animalizacji człowieka i humanizacji zwierząt i drzew” ks. prof. Tadeusza Guza (publicysta „Naszego Dziennika” i Radia Maryja); „Kościół

i przyroda – wolność artystyczna czy działania z premedytacją” Temidy Stankiewicz-Podhoreckiej (uwzględniającej się za krytykę teatralnego publicystki „Naszego Dziennika”); „Kościół dla polskiego wsi – wieś dla polskiego Kościoła katolickiego” Grzegorza Kucharczyka („Nasz Dziennik” i „Christianitas”). Czy las i Kościół mają ze sobą wiele wspólnego? Oczywiście. Ze ściętych drzew można strugać krzyże.

➤ „Gazeta Trybunalska”, którą na tle lokalnych mediów mają wyróżniać „wysoka jakość publicystyki, trafne komentarze, zaangażowanie w sprawy społeczne i polityczne”, zasugerowała hierarchom polskiego Kościoła, aby już teraz podjęli starania zmierzające do wyniesienia ojca Tadeusza Rydyzka na stolec papieski w Watykanie. Franciszek według „Gazety Trybunalskiej” nie jest bowiem dobrym pa-

pieżem. „W czasach, gdy krwawy półksiężyc zagląda do okien milionów bezbronnych istnień, a lewackie i pseudodemokratyczne środowiska usiłują dokonać gwałtu na chrześcijańskiej Europie, potrzeba człowieka, który się temu przeciwstawi” – pisze autor „Gazety Trybunalskiej”. I dalej: „O. Tadeusz Rydyżk jest najlepszym kandydatem na przyszłego papieża. To wybór dobry nie tylko dla naszej ojczyzny, ale także dla całego świata, pogrążonego w zamięcie”; „Pomimo oporu poprzedniej władzy pokonał wszelkie trudności. Jest znakomitym organizatorem, przy tym człowiekiem głęboko religijnym. Wierni go uwielbiają. Na każde wezwanie gotowi są stanąć u jego boku”. No i jak tu ktoś śmiałyby grzebać w finansach przyszłego Ojca Świętego?

➤ „Matki Polki na wyrębie”, które są „odolną inicjatywą obywatelską”, nie wycią-

gają ręki do ministra Szyszki po pieniądze. Same zbierają, apelując o datki w mediach społecznościowych. Chcą zbierać 10 tys. zł na zakup biletów na pociąg do Warszawy, a następnie biletów lotniczych do Rzymu oraz opłacenie trzech noclegów. Chcą podróżować z bardzo małymi dziećmi, dlatego muszą wybrać bezpośrednio i najkrótsze loty i przejazdy. Chcą polecieć do Watykanu, do papieża Franciszka, ponieważ uważają, że ochrona przyrody to sprawa moralności. Na środowowej audycji u papieża na placu św. Piotra chcą rozwinąć wielki transparent z apelem, aby Franciszek wstał się za naszą przyrodą. Chyba mniej męcząca dla dzieci „Matek Polek na wyrębie” byłaby podróż na audycję u ojca Rydyzka. Lepiej od razu apelować do najważniejszej osoby.

KLECHA

Wieści na użytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Taxi Pana Boga



Po medialnych awanturach wokół wypadków Dudy (wracał z nart), Szydło (pędziła do domu na weekend) i Macierewicza (jechał od Rydzyka) wydawać się mogło, że władze zaczną uważniej patrzeć na kosztowne i kłujące społeczeństwo w oczy transporty VIP-ów. Nic bardziej mylnego. Oto kolejny odcinek telenoweli, tym razem z biskupami w tle.

7 maja w Gdańsku odbyła się msza ku czci św. Wojciecha, który w 997 r. miał ochrzcić lud Gdańska oraz z okazji 25. rocznicy ustanowienia Archidiecezji i Metropolii Gdańskiej. Na kościelną uroczystość zjechała najtłustsza śmietanka, którą przez bite 16 minut wymieniał mający ją pod pasterską łaską abp Sławoj Leszek Głódź: posłowie, senatorowie, wojewoda, prezydenci Gdańska i Sopotu, przedstawiciele sejmiku, rektorzy Uniwersytetu oraz Politechniki Gdańskiej i Akademii Marynarki Wojennej, szefowie wojska, straży pożarnej, Straży Granicznej, Służby Więziennej, prokuratury, skarbowki, IPN-u i wielu innych państwowych instytucji. Z Warszawy na mszę pofatygowala się szefowa Kancelarii Prezydenta, przybył też ojciec dyrektor Tadeusz Rydzyski. Słowem – sami najważniejsi.

Podczas pozdrawiania sprzed ołtarza stróżów porządku, których na takim wydarzeniu w świeckim kraju być nie powinno – ale w Polsce siadają w pierwszych rzędach – abp Głódź oznajmił: „Serdecznie witam pana komendanta wojewódzkiego policji, pana Jarosława Rzymkowskiego”. I dodał: „Dzięki panom policjantom zdążyliśmy z księdzem arcybiskupem nuncjuszem i biskupami na czas. Dziękujemy”. Mszę transmitowała telewizja Trwam, za co Rydzyski dostał od metropolity gdańskiego osobne honory i brawa. Na ekranach było widać, że komendant Rzymkowski podziękowania Głódzia przyjął z uśmiechem i kiwał potwierdzająco głową.

Biskupów na imprezie naliczyłem dziewięciu: oprócz Głódzia byli to nuncjusz apostolski Salvatore Pennacchio z Warszawy, biskupi Wiesław Szlachetka i Zbigniew Zieliński z Gdańska, bp Edward Janiak z Kalisza, biskupi Piotr Krupa, Wiesław Śmigiel i Ryszard Kasyna z Pelplina. Oraz bp Marcin Hintz z Sopotu, reprezentujący ewangelików.

Żadne przepisy nie uprawniają nawet najbardziej wierzącego komendanta do robienia ze służb mundurowych korporacji taksówkarskiej dla księży. Fundując sukienkowym darmowy przejazd na sygnale z okazji spieszenia się na mszę, kierownictwo policji złamałoby prawo!

W związku z tym wysłałem do wydziału prasowego komendy wojewódzkiej następujące pytania:

1. Na czym polegała pomoc policji, o której mówił abp Głódź?

2. Czy samochody arcybiskupów i biskupów eskortowano? Czy odbywało się to w kolumnie? Ile samochodów eskortowano? Ilu policjantów się tym zajmowało? Czy też może arcybiskupów i biskupów przewieziono samochodami policji?

3. Jaka była podstawą prawną udzielenia pomocy w transporcie spóźnionym arcybiskupom i biskupom?

4. Czy decyzję o udzieleniu pomocy spóźnionym arcybiskupom i biskupom podjął osobiście komendant wojewódzki?

Otrzymałem następującą odpowiedź: „Eskorta, o którą Pan pyta, realizowana była na podstawie Rozporządzenia Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji z dnia 2 września 2002 r. w spra-

wie okoliczności, w jakich są używane pojazdy uprzywilejowane w kolumnach oraz Zarządzenie nr 1385 Komendanta Głównego Policji z dnia 17 listopada 2009 r. w sprawie metod i form wykonywania przez policjantów zadań związanych z realizacją eskort policyjnych.

Eskorta policyjna zrealizowana została na złożony oficjalny wniosek Kurii Metropolitalnej Gdańskiej. Nadmieniam, że w trakcie przejazdu kolumna napotykała na szereg utrudnień w ruchu drogowym, między innymi zmierniejące na uroczystości pielgrzymki wiernych. Policjanci zabezpieczali przejazd, w którego skład wchodziła między innymi delegacja Watykanu. W kolumnie trzech samochodów (niebędących na wyposażeniu Policji), którą eskortowało 4 funkcjonariuszy na motocyklach, poruszał się Nuncjusz Apostolski wraz z osobami towarzyszącymi”.

Przepisy dotyczące przewozu pojazdów uprzywilejowanych w kolumnach opisane są we wciąż obowiązującym rozporządzeniu ministra spraw wewnętrznych i admi-

Zarządzenie nr 1385 Komendanta Głównego Policji z 17 listopada 2009 r. w sprawie metod i form wykonywania przez policjantów zadań związanych z realizacją eskort policyjnych mówi o 7-dniowym wyprzedzeniu przy składaniu wniosków o eskortę policyjną. Trzeba być człowiekiem bardzo głębokiej wiary, by uwierzyć, że Głódź i spółka wiedzieli już tydzień wcześniej, że się spóźnią!

To nie ma jednak żadnego znaczenia, bo z jakiej paki ktokolwiek miałby przystawać na oficjalny wniosek Kurii Metropolitalnej Gdańskiej? Czy policja wysła obstawę, jeśli oficjalny wniosek złoży Najwyższe Kierownictwo Pośladków Michała Marszałka? Prawo mówi wyraźnie, że o zabezpieczenie przejazdu wnioskować mogą jedynie służby państwowe.

O interpretację przepisów poprosiłem Krzysztofa Janika, który w 2002 r. pełnił funkcję ministra spraw wewnętrznych i administracji – i którego podpis widnieje pod rozporządzeniem.

Za moich czasów ograniczało się ochronę. Odebrałem np. asekurację BOR prezesowi NBP. Teraz byle kto dostaje takie przywileje. A przepisy mówią jasno: chronieni są prezydent, premier, marszałkowie Sejmu i Senatu, wicepremier, minister spraw wewnętrznych, minister spraw zagranicznych i byli prezydenci – stwierdził niegdyśieny przewodniczący SLD. – Gdy są transportowani, BOR może poprosić policję o pilotaż i wtedy dostaje się albo pilota prowadzącego, albo, jeśli jest taka konieczność, także pilota końcowego. Delegacje zagraniczne dostają ochronę policyjną, gdy przybywają w odpowiedniej randze – od głowy państwa do ministra obrony. Prawo do pilotażu policyjnego ma też ambasador debiutujący, jadący do prezydenta. I tyle.

Przy większości transportów ważnych osobistości – wbrew staraniom polityków PiS – do wypadków na szczęście nie dochodzi. Każda tego typu sytuacja tworzy jednak w jakże pilnie strzeżonym przez policjantów ruchu drogowym potencjalne niebezpieczeństwo. Kilka niestosujących się do znaków zdrowo zapieprzających biskupich aut – których kierowcy, jak można mniemać, nie trenowali nigdy poruszania się w kolumnach – stanowi oczywiście zagrożenie dla innych pojazdów i pieszych. Zbyt długie spanie albo przymierzanie sukienek do mszy nie uprawnia księży do korzystania z VIP-owskich względów. Abp Głódź – mimo wielkich ambicji – nie jest osobą zajmującą kierownicze stanowisko państwowe. Tyłek wozic musi z kolegami jak wszyscy pozostali obywatele, bez względu na to, jak bardzo się śpieszy. Następnym razem niech wsiada na miotłę i modli się o odrzut do samego Pana Boga!

Gdy w czerwcu 2016 r. media przyłapały Jarosława Kaczyńskiego na fruwaniu w urodziny w prywatnej sprawie ze Świnoujścia do Krakowa policyjnym śmigłowcem, ten zobowiązał się do wpłacenia równowartości ceny biletu lotniczego za taki przelot na konto Fundacji Pomocy Wdowom i Sierotom po Poległych Policjantach. Czy na podobny gest zdecyduje się nuncjusz apostolski albo któryś z oczekujących złotem biskupów? I czy policjanci odpowiedzą za robienie pośmiewiska z prawa?

MICHAŁ MARSZAŁ
michal.marszal@redakcja.nie.com.pl



■ Konstytucja 3 Maja przypomina nam, że **religia jest integralną częścią ludzkiego bytowania!** (...) To nie interesy ekonomiczne łączą, tworząc wspólnotę losu obywateli europejskich, i na pewno nie **agno-styczno-ateistyczna ideologia**, która pragnie się upowszechnić jako filozofia państwa w instytucjach europejskich. Jest ona z gruntu skazana na upadek, który pociągnie za sobą w **przepaść frustracji wielu ludzi**. To właśnie spuścizna kulturowa chrześcijaństwa jest najlepszym zabezpieczeniem przed pojawiającymi się nowymi ideologiami totalitarnymi, zagrażającymi godności człowieka, grożącymi zniszczeniem praworządnej demokracji i pluralistycznego społeczeństwa.

abp Stanisław Gądecki, homilia, 3 maja

■ Przypomnę, co stanowiła uchwalona przez Sejm Wielki Ustawa Rządowa zwana też postępową, nowoczesną, mądrą i państwowotwórczą Konstytucją 3 Maja: „**religią narodową** panującą jest i będzie wiara święta, **rzymaska, katolicka**, ze wszystkimi jej prawami”. Nie, żebym się domagał wpisania dokładnie tej formuły do nowej konstytucji RP, ale jako **punkt startowy negocjacji** – czemu nie?

Maciej Pawlicki, „wSieci”, 8 maja

■ Chciałoby się **zaintonować śpiew**, który był niegdyś powszechny, później zakazany, a dzisiaj wracający do naszej rzeczywistości, związany z tym dniem, dniem 3 maja. Chciałbym go przypomnieć: „Witaj majowa jutrenko, świeć naszej polskiej krainie”. I chciałbym dodać, może nie tylko od siebie: „**Świeć naszej dobrej zmianie**”.

prof. Mieczysław Tomaszewski, wypowiedź po odebraniu od prezydenta Dudy Orderu Orła Białego, 3 maja

■ **W starciu cywilizacji chrześcijańskie** uczestniczą także w pozornie tolerancyjnych i promujących wolność religijną krajach Europy czy w Stanach Zjednoczonych. Tyle że tu z chrześcijanami nie ścierają się muzułmanie, buddyści ani hinduiści, ale... zwolennicy rzekomo promującej wolność sumienia i **wyznania liberalnej demokracji**.

Tomasz Terlikowski, „Do Rzeczy”, 8 maja

■ Zamknięci w klatce samozadowolenia i samouwieblenia **liberałowie** balansują na skraju lewactwa, co należy uznać za nowy internacjonalizm, taki **na wzór komunistycznego**.

Krystyna Grabowska, „wSieci”, 8 maja

■ Sprzeciwiam się burzeniu naturalnego porządku świata gwarantującego przetrwanie naszego gatunku. Tymczasem nachalne propagowanie w mediach **LGBT** i próby wchodzenia do szkół z genderową ideologią **zagrożają naszej cywilizacji**. (...) Promując tradycyjne **małżeństwo równoprawnych małżonków**, przywracamy również **szlachetny patriotyzm**.

Lech Makowiecki, „wSieci”, 8 maja

■ **Antykoncepcja** nie tylko **szkodzi społeczeństwu**, ale też niszczy zdrowie kobiet. (...) Paczki z pigułkami powinny być opatrzone prostym napisem: „Antykoncepcja albo zdrowie – wybór należy do ciebie”.

Terlikowski, „Gazeta Polska”, 4 maja

■ **Kościół katolicki** jest jedynym środowiskiem ogólnopolskim, które nie tylko zabiera głos w kwestii pedofilii, ale **w sposób systemowy odpowiada** na poważny problem społeczny, jakim jest **wykorzystywanie seksualne małoletnich**. (...) O tym, że Kościół nie milczy w kwestii wykorzystywania nieletnich, świadczy też fakt, iż 3 marca br. w polskich diecezjach **był dzień modlitwy** i pokuty w intencji ofiar pedofilii. Ponadto w 2014 r. w Krakowie miała miejsce liturgia pokutna za grzech pedofilii.

ks. Paweł Rytel-Andrianik, oświadczenie, 8 maja

■ Homopolityka, której przedstawicielem jest pan **Robert Biedroń**, drażni mnie i **napawa wstrętem**. (...) Jeżeli, ktoś będzie mi próbował wmówić model „rodzic A” – „rodzic B”, to jestem gotów **wyjsc na ulicę i tłuc się** z takimi ludźmi, bo to są faszysty. To jest dziś **współczesny faszyzm**, spod m.in. znaku Marksa czy Szkoły Frankfurckiej. (...) Tolerancja nie oznacza przymusowej afirmacji, która jest faszyzmem i komunizmem.

Witold Gadowski, videoblog, 9 maja

■ **Wyśmiewając Kościół**, szydzą z Chrystusa. (...) Nie wolno udawać, że wszystko jest w porządku, kiedy ktoś podnosi **bluźnierczą łapę** na to, co dla nas, chrześcijan, jest święte. (...) Gdybyśmy naprawdę kochali Jezusa, kochali Jego Kościół, nie zostalibyśmy tak lekliwi, tak obojętni na to, co o Nim mówią, jak z Nim w naszym kraju postępują.

bp Wiesław Mering, homilia, 7 maja

■ **Córki wiedzą**, co mają robić. Żona też. Ja **żonę szanuję**, ale musi być **dyscyplina w domu**. Niedziela jest, to **idziemy do kościoła**. (...) Nie ma takiej opcji, żeby córka spotykała się z **nie-Polakiem**. Ma chłopaka, syna kolegi. Sam pozwoiliem.

Tomasz Adamek, TVN, 9 maja

■ Mówiący, że utrzymuje nas rząd, **bezwstydnie kłamie**, a przez te kłamstwa chcą zniechęcić ludzi do wspierania, utrzymywania naszych mediów, chcą doprowadzić, by **Radio Maryja i Telewizja Trwam** upadły. (...) Jeśli przedstawiciele **Platformy i Nowoczesnej** kłamstwem walczą z Radiem Maryja, to pytam się, czy w innych sprawach mówią prawdę? Czy są wiarygodni? Czy kłamcom można powierzać **losy Ojczyzny**? Wyciągnijcie Państwo sami wnioski z tego i bądźmy mądrzy.

o. Tadeusz Rydzyski, oświadczenie, 9 maja

wybrał
WALDEMAR KUCHANNY
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl



Złodzieje we wszystkich sądach

Hit z ostatnich dni: pod koniec kwietnia 2017 r. okradziono Sąd Rejonowy w Słupsku.

Okradanie sądów to bezpieczne zajęcie, choć raczej dla koneserów. Przeciętny zjadacz chleba nie znajdzie tam nic cennego.

Foliowa torebka

W Słupsku zginął najważniejszy dowód rzeczowy w sprawie przeciwko Włodzimierzowi K. To były radny gminy Damnica, który jakiś czas temu kandydował na wójta. Kontrkandydatem był przewodniczący rady gminy Kazimierz Kozina. Panowie żyli w przyjaźni, Włodzimierz K. smałał cholewki do Kozinianki. Aż wybuchła afery. W trakcie kampanii ktoś poinformował organy ścigania, że w samochodzie przewodniczącego znajdują się narkotyki. Szok. Przeszukanie. I proszę. Pod tylnym siedzeniem woreczek z 20 gramami heroiny i marihuany!

Kozina wywinął się, bo na torebce były odciski palców tylko jednej osoby. Trzeba trafić – Włodzimierza K. Prokuratura uznała, że zrobił koleję, chcąc zwiększyć swoje szanse w wyborach. Sprawy szły po myśli śledczych, aż z akt wyparowało opakowanie po narkotykach. A także opinia biegłych w tej sprawie.

Nie wiadomo, kto się połaścił na plastikową torebkę i 3 kartki papieru. Lokalne media ustaliły, że jako ostatni przeglądał akta oskarżony, ale nie przesądza to przecież o jego winie.

Czytelnia akt jest monitorowana. Nagrania są automatycznie kasowane po upływie krótkiego czasu. Sam sąd zatem zniszczył dowód w sprawie zniknięcia dowodów.

Krzywa przegroda z wrzodami

Krzysztof mieszka w Legionowie. Ma dorosłego syna Macieja. Przez lata prowadzili wspólny biznes, aż pokłócili się o pieniądze.

Zawalił robotą prokuraturę. Jedną ze spraw badał Sąd Rejonowy w Legionowie. Maciej siedział na ławie oskarżonych, ojciec był oskarżycielem posiłkowym. Ramię w ramię z prokuratorem dowodził, że pociecha szachrowała z kwitami i szmałem.

Ojciec oskarżonego, a też oskarżyciel, czyli Krzysztof dołączył do akt orzeczenie o swoim stanie zdrowia, wydane przez Terenową Wojskową Komisję Lekarską w Legionowie. Na dwóch stronach szczegóły co stłukł i kiedy. O krzywej przegrodzie nosa, przykurczach, cukrzycy, polineuropatii. O uszkodzonym aparacie wyprostnym palców. O żyłkach – gdzie się zrobiły i jakie. Poruszające wiadomości z frontu walki z chorobą wrzodową. A przede wszystkim informacja o urazie głowy sprzed 49 lat, który owocuje zaburzeniami nastrojów.

Adwokat Macieja dwukrotnie przeglądał i fotografował akta.

Wkrótce po pierwszej sesji jego mocodawca rozesłał listę ojcowskich chorób do kilku instytucji, które zajmowały się sporami między nim i Krzysztofem. Miała być dowodem, że taka kupa nieszczęścia może tylko ściemniać.

– To były fotografie orzeczenia z akt sądu w Legionowie – przekonuje Krzysztof. – Oryginalna decyzja jest

na jednej dwustronnie zadrukowanej kartce. Do sądu dołączyłem ksero na dwóch kartkach. Tak jest na zdjęciach. Widać ślady po dziurkaczu. No i fotografie zostały przycięte tam, gdzie były numery kart w aktach – pokazuje brzegi.

Myślał: wystarczy powołać biegłego, żeby mieć pewność co do pochodzenia fotografii. A osoby nieuprawnione nie mają prawa kopiować ani rozpowszechniać orzeczeń lekarskich.

Poszedł do sądu. Kart 198 i 199, traktujących o jego chorobach, nie było. Materiał porównawczy dla biegłego wyparował.

Postawił na nogi prezesa. Przynieśli akta.

– Rzeczywiście – przyznał prezes. – Po karcie 197 następuje karta 200!

Kolejnego dnia wiceprezes Grzegorz Woźniak zawiadomił prokuraturę o przestępstwie kradzieży dokumentu.

Kopia w prezencie?

Nie przesądzam, co ustali prokuratura w Słupsku, zaalarmowana przez tamtejszy sąd o kradzieży woreczka i trzech stron maszynopisu.

Prokuratura Rejonowa w Legionowie ustaliła, że orzeczenie dotyczące stanu zdrowia Krzysztofa w aktach było. Że mecenas Macieja przeglądał akta i je kopiował. A także musiał wejść w posiadanie kopii orzeczenia, bo Maciej rozesłał ją do policji w Warszawie, Legionowie, Olsztynie, Szczepnie. Orzeczenie z dwóch prokuratur. A także dwóch sądów.

W cytelnym akcie w Legionowie nie ma monitoringu. Syn zapewnił, że dostał kwit od tatusia.

– Ostatni raz był u mnie w domu wiele lat przed tym, jak powstało orzeczenie – replikował Krzysztof. – Z pewnością nie dałem mu kopii w prezencie,

bo w czasach, gdy byłem badany, uważałem go za najgorszego wroga!

Prokurator mógł zbadać aparat pągi, którym fotografowała akta. Zwłaszcza nośnik pamięci. Byłby dowód, czy mecenas uwiecznił strony 198 i 199. Jeśli tak, podejrzenia o kradzież dokumentu, dokonaną w celu zatarcia śladów kopiowania, nie są z sufitu.

Prokuratura umorzyła postępowanie z powodu niewykrycia sprawy.

Pierwsza naiwna

Bezspornym jest, że Krzysztof ucierpiał z powodu kradzieży sądowej. Od pięćdziesięciu lat jest myśliwym. Teraz policja zabrała jego broń do depozytu. Bo jeśli dopadnie go chandra? Kolejne sądy, w których klóci się z synem, powołują biegłych, aby mieć pewność, czy i jak zmienność nastrojów wpływa na poczytalność.

Krzysztof odwołał się więc od decyzji o umorzeniu śledztwa. „Odwołanie jest bezprzedmiotowe, bo złożone przez osobę nieuprawnioną. Przecież pan nie jest pokrzywdzonym w tej sprawie” – grzecznie odpisała prokuratura.

Krzysztof ma kopię ukradzonego orzeczenia. Niech kolejny raz dołączy do akt i pozamiatane.

Podreptał do sądu w Legionowie. Żeby prezes nie przegapił terminu i się odwołał. W końcu to sąd pozwolił się okraść. Odpowiada więc za to, że syn mu dokopał. A sąd jest instytucją, która powinna dbać o autorytet.

O tym, że oczekiwania nie były na wyrost, świadczy choćby ocena dokonana przez Sąd Rejonowy w Nowym Dworze Mazowieckim. Badał sprawę Krzysztofa na polecenie zwierzchników. Sędzia Olga Tomaszczyk oceniła, że „dokument, przedłożony organowi wymiaru sprawiedli-

wości, staje się własnością tego organu”. Dlatego też usunięcie kart „pośrednio narusza dobra prawne Sądu Rejonowego w Legionowie i to on jako podmiot jest w tej sprawie pokrzywdzonym”.

– My mamy się odwoływać od decyzji o umorzeniu? – Kierownictwo sądu z Legionowa zachowało się jak pierwsza naiwna. – Dlaczego?

Krzysztof osłupiał. Zatem Grzegorz Woźniak, przewodniczący II Wydziału Karnego Sądu Rejonowego w Legionowie, wyłożył rzecz na piśmie.

„Sąd nie jest instytucją pokrzywdzoną (...). Pokrzywdzonym jest ogólnie interes publiczny”. A skoro tak, to „prezes nie ma możliwości wpływania na czynności organów ścigania związane z prowadzeniem powyższej sprawy. Nie może też oceniać wyników postępowania”. To bardzo wygodne dla przestępców, że pokrzywdzonym bywa jedynie interes publiczny. Był abstrakcyjny, który nie może niczego skarżyć, bo przecież realnie nie istnieje.

Krzysztof usiłował pomóc interesowi publicznemu, angażując ministra Ziobrę. Nic nie wskórał.

Nieustalone osoby

Prezes sądu w Słupsku jest dobrej myśli. Przekonuje, że na pewno uda się namierzyć sprawcę kradzieży. Znaczący to, że nie wie, jak tego typu sprawy kończyły się w przeszłości. W pol-

Więści gminne i inne

■ Murzynek Bambo w Afryce mieszka – nauczał społeczeństwo Julian Tuwim. W A-F-R-Y-C-E, a nie w Lublinie, gdzie 29-latek, zobaczywszy na Krakowskim Przedmieściu czarnego człowieka, którego widział przedtem tylko w telewizorze, z przerażeniem rzucił się na to dziwne stworzenie z krzykiem: „Polska dla Polaków!”. Tym samym doszło do pierwszego w historii konfliktu siłowego między Polską a Nigerią. Atakująca Polska oddała kilka ciosów sierpowych, które nie dosięgły Nigerii, a następnie uciekła do kościoła. Poprosiwszy Najwyższego o wstawiennictwo, nasz rodak wrócił na plac boju. Pojmała go policja.

■ W Nowej Hucie doszło do zatargu między Polską a Ukrainą. Pomni nauk ks. Isakowicza-Zaleskiego, wypominającego Ukrainie bez opamiętania mordercy na Wołyniu oraz w Małopolsce Wschodniej, młodzi Polacy zaatakowali wyrwanymi z płotu sztachetami z wystającymi gwoździemi 17-letniego Ukraińca w odwecie za historyczne krzywdy. Zadalili Ukrainie dotkliwe straty. Ten narodowo-patriotyczny wyczyn spotkał się z niezrozumieniem policji, która zakwalifikowała go jako zwykłe naruszenie nietykalności cielesnej.

■ W odwecie za nowohucką klęskę, Ukraina zaatakowała Polskę na gdańskiej starówce. Dwóch 23-letnich Ukraińców pobiło polskiego 31-latkę. Lach otrzymał 13 ciosów pięścią w twarz, jebnięty został z łokcia w brodę oraz wytargany za uszy. Obywatele Ukrainy zachowali się jednak honorowo i po sportowemu. Przyznali się do pobicia i dobrowolnie poddali się karze.

■ Nic więc dziwnego, że obywatele świętego miasta Częstochowy napadli na Ukraińców. Siły były wyrównane – 3 na 3. Szybka wymiana ciosów powaliła pobratymców Stepana Bandery na ziemię. Ta dramatyczna potyczka uszłaby naszej uwagi, gdyby nie policja, która lubi wtrącać się w nieswoje sprawy. O nagrodzie dla zwycięzców zadecyduje teraz sąd. Mówi się nawet o 12 latach zwolnienia z podatku dochodowego.

■ Do bójki na tle narodowym doszło też w Mławie – między Polską a narodem romskim. Kompletna klęska. Pijany 52-letni mławianin został napadnięty i pobity na stacji benzynowej przez pijanych dwudziestokilkuletnich Cyganów. Walka odbywała się w stylu „Jui kuen” zwanym niekiedy stylem pijanego mistrza. Zmagania zarejestrowały kamery i jeżeli prokurator zezwoli, pokazane będzie to na YouTube. Nieestety, w rezultacie starć jednostki polskie poniosły 100 procent strat w sile żywej. Mławski obrońca polskości wykitował.

■ W Ozorkowie walczyliśmy przeciw Pakistanowi. 44-letni Pakistańczyk, pracownik miejscowego baru, pomyłony został z Osamą ben Ladenem, słynnym międzynarodowym terrorystą. Nasi rodacy wybili Pakistanowi kilka zębów, złamali przegrodę nosową i poczęstowali kopniakami. Sprawa zakończyła się właśnie wyrokiem sprawiedliwym. Asmat, bo tak Pakistańczykowi na imię było, odgrażał się przed sądem, że nadal będzie żył w Polsce, pracował i płacił podatki.

Za fatalny błąd nasi bojownicy zapłacą Pakistanowi 3 tys. zł nawijaki – zdecydował sędzia.

■ W Szczytnie zmagaliśmy się Tunezją, która obsługiwała gastronomicznie 32-latkę. Tunezja została zbyszta, poszarpana i opluta. Różnice kulturowe w obsłudze kelnerskiej, występujące w obu krajach, okazały się nie do zniesienia dla Polaka – który zmuszony został do zastosowania siły.

■ Do wojny domowej doszło w Zielonej Górze, gdzie nasz mistrz sztuk walki wręcz Jakub K. (srebrny medal w formule full-contact w Bilbao oraz brązowy medal Mistrzostw Świata w Turcji) odniósł kolejne spektakularne zwycięstwo. Pokonał 46-letniego rencistę po trzech zawałach, Ireneusza Taraskiewicza, który w wyniku kopnięcia w genitalia doznał czwartego zawału i był to ostatni zawał w jego życiu. Taraskiewicz zasnął przy stole w knajpie, gdzie Jakub K. dorabiał jako ochroniarz. Oczywiście stoimy na stanowisku, że nikogo absolutnie nie wolno zabijać, ale sąd powinien wziąć pod uwagę straty, jakie dla polskiego kickboksersztwa przyniesie ewentualne zamknięcie Jakuba K. w więzieniu.

■ Inny sportowiec, Mariusz Kowalski, piłkarz Łokietka Brześć Kujawski, wdał się w bójkę na pięści z 34-letnim lumpem z Włocławka, który powalił mistrza jedynym strzałem w twarz, mimo że był w dupę pijany.

MUSIMY SIĘ KIEDYŚ
NAPIĆ NA TRZEŻWO



Logika fikołka

Franek po uszy już miał Beaty Szydło na przemian z Andrzejem Dudą. Nudziły go kolejne relacje z modłów, ekshumacji i odsłaniania pomników. Nawet polowanie na byłych funkcjonariuszy SB w służbie dyplomatycznej nie budziło w nim szczególnych emocji. Krótko mówiąc – rzygało mu się już telewizją publiczną. Zapytał kumpli z celi, czy może zmienić kanał. Nikt nie zaprotestował.

Skoro nikt nie miał nic przeciwko temu, Franek podsunął stołek w stronę telewizora wiszącego na wysokości 2,5 m nad ziemią i stanął na taborecie. Tylko w ten sposób mógł sięgnąć do guzika zmiany kanałów.

Fikołek Franka

Taboret, na którym stanął, więźniowie zwali fikołkiem. Nazwa nie była przypadkowa. Fikołki są niestabilne. Niejeden więzień przewrócił się na nim, siedząc. A Franek na nim stał. I gdy zmieniał kanał telewizji publicznej na coś bardziej strawnego, fikołek uczynił to, co leżało w jego naturze. Lekko się zachybotał. Następnie odchylił się w lewo, a następnie w prawo.

Franek przestał interesować się telewizorem. Uwagę skupił na fikołku. Inni więźniowie z wielką uwagą przyglądali się jego wysiłkom. To było ciekawsze niż telewizja publiczna. Zaczęli robić zakłady, jak długo Franek ustoi. A gdy już głebnie o ziemię, to czy się tylko obje, czy może coś połamie? I co sobie połamie — kark czy którąś kończynę?

Wygrali ci, którzy stawiali na złamanie. Franek gruchnął z fikołka tak niefortunnie, że złamał nogę. Tym samym popełnił wykroczenie przeciwko obowiązującemu w więzieniu porządkowi. Nieomal wywołał bunt.

Franek buntownikiem

Dotychczas był normalnym więźniem, nawet uznanym za lepszego od innych, zasługującego na nagrody przewidziane w regulaminie. Ale za sprawą złamanej nogi diametralnie zmienił się stosunek administracji więzienia do niego. Złamana noga świadczyła przecież o tym, że źle się dba o więźniów. Co przecież jest nieprawdą.

Franek kilka razy trafił do celi izolacyjnej. Jest to najdotkliwsza kara dla więźnia, stosowana zwykle wobec buntowników. Bo też i był on buntownikiem. Uznając, że złamał nogę za sprawą zbyt wysoko powieszonego telewizora i niestabilnego fikołka, Franek poskarżył się na więzienie do sądu. Napisał pozew, zakleił kopertę i wysłał.

Franek przed sądem

Pewnego dnia rano drzwi celi się otwały. – Zbieraj się – usłyszał Franek od jednego ze strażników. – Dokąd mam iść? – zapytał go Franek. – Dowiesz się na miejscu.

– Nie bardzo – przyznał Franek. Ponownie zapadł w milczenie. – No, nie wiedziałem, że wiozą mnie do sądu.

– To prawda? – spytał sędzia. Tym razem zwracał się do strażników.

– My też nic nie wiemy – odezwał się jeden ze strażników. – My go tu tylko przywieźliśmy.

Sędzia przerwał rozprawę.

Franek przed telewizorem

Na następną rozprawę Franek przyjechał przygotowany jak należy. Umył się i ogolił. Miał prawnika z kancelarii prawnej Leszka Krupanka z Katowic. Wiedział, co chce powiedzieć. Specjalna więzenna komisja ustaliła, że telewizor wisiał na wysokości nie mniejszej niż 2,30 m. Franek opisał kształt fikołka oraz jego najbardziej charakterystyczną cechę, czyli skłonność do wywracania się. Ale

administracja więzienna stała na stanowisku, że program telewizji publicznej mógł być tak frapujący, iż nikt nie chciałby zmienić kanału. Szczególnie gdy na wizji jest kolejna uroczystość ku czci Lecha i Marii Kaczyńskich.

Franek mógł złamać nogę w inny sposób, np. przykładem złośliwie kopiąc w prycze.

– Mam świadków – powiedział Franek. Po czym wyjaśnił, że w celi było jeszcze dwóch osadzonych. Pełnomocnik więzienia na to, że przecież mogli spać.

– Oni na pewno wszystko pamiętają – zapewnił Franek. – Zakładali się, czy złamię tylko nogę, czy coś więcej.

– Pamięta pan ich nazwiska? – zapytał więźnia sędzia.

– Oczywiście – odparł Franek, po czym je wymienił.

– Co pan na to? – zapytał sędzia pełnomocnika więzienia.

– Sprawdzimy jak najszybciej, czy tacy więźniowie istnieją – zapewnił sędzięgo pełnomocnik.

Franek i koledzy z celi

Na kolejną rozprawę pełnomocnik więzienia przybył ze strategiczną informacją. Wynikało z niej, że jeden z osadzonych przebywa już na wolności, a drugiego nie sposób zidentyfikować. Co prawda ma on dość rzadkie imię i jeszcze radsze nazwisko, lecz zakład karny nie jest w stanie znaleźć go w tłumie pozostałych osadzonych. Rozprawa znowu została odroczone.

Sąd jeszcze raz wezwał więźnia o rzadkim imieniu i nazwisku na świadka. Z więzienia nadeszła odpowiedź, że do pełnej identyfikacji konieczne jest jeszcze podanie, jak ma na imię ojciec więźnia. Istnieje bowiem możliwość, że więźniów o takim samym imieniu i nazwisku jest wielu. Choć jest to możliwość jedynie teoretyczna, to nie wiadomo przecież, ilu z nich siedziało w jednej celi z Frankiem, a ilu nie. Dlatego zakład karny nie jest w stanie wypełnić żądania sądu, odnaleźć świadka i przywieźć go na rozprawę.

Fikołek, z którego Franek zleciał, przysporzyć może jeszcze więcej problemów. W tej celi, w której Franek złamał sobie nogę są trzy takie same. I nie wiadomo który zawinił. Kolejna rozprawa przed sądem w Katowicach 16 maja.

MATEUSZ CIEŚLAK

mcieślak@redakcja.nie.com.pl

skich realiach bardzo rzadko dochodzi do złapania i ukarania złodzieja sądowego.

Pierwszy lepszy przykład. Z magazynu Sądu Rejonowego w Bielsku-Białej zginęły dowody zabezpieczone na potrzeby toczącego się przez kilkanaście lat procesu. 14 osób oskarżono o kradzież samochodów, włamania, składanie fałszywych zeznań, wyłudzenie odszkodowań. Sąd zorientował się, że nie ma dowodów, dopiero wówczas gdy upomniał się o nie oskarżony. „Istnieje duże prawdopodobieństwo, że wspomniane wyżej przedmioty mogły zostać zabrane w celu przywłaszczenia przez nieustaloną osobę kilka lat temu podczas kradzieży” – wyjaśniła oskarżonemu wiceprezes sądu.

Albo kradzież pięciu tomów akt z Sądu Rejonowego w Opolu. Dotyczyły gwałtu zbiorowego. Wszystko co do kartki wyniósł ochroniarz. Zwolnił się kilka dni wcześniej, do budynku wpuścił go kolega. W dobrej wierze. Mężczyzna poprosił, aby zostawił mu budynek na godzinę, bo chce go pokazać koleżance.

Kara za przestępstwo nie jest wysoka, maksymalnie 2 lata więzienia. Ochroniarz z Opola poddał się karze dobrowolnie. 2 lata w zawieszeniu na 5, 4,5 tys. zł grzywny i 5-letni zakaz pracy w ochronie.

– Dowody się odtworzy – przekonuje prezes ze Ślupska.

Tak przewiduje kodeks postępowania karnego. Co do opinii biegłych – zgoda. Na pewno istnieje kopia. Ale jak odtworzyć foliową torebkę z odciskami palców?

Na miejscu Włodzimierza K. otwierałabym szampana. Sprawa była i się rozmyśla. Z winy sądu.

BOŻENA DUNAT

bdunat@redakcja.nie.com.pl

Mistrz zatoczył się i uderzył głową w krawężnik. W rezultacie zmarł. Wina sprawcy nie jest jednoznaczna i pozostaje on na wolności. Gdyby Kowalski do walci użył nóg, a nie pięści i głowy, pewnie by przeżył. Należy pamiętać o tym, żeby robić w życiu to, na czym znamy się najlepiej. W każdym razie w drużynie Łokietka Brześć Kujawski jest wakatem na pozycji lewego napastnika.

■ Odbędą się uroczystości pogrzebowe w Suchożebrach, ponieważ trzeba pochować 18-letnią Kasię, którą 19-letni Michał i Kewin wywieźli do lasu i potrakowali młotkiem ślusarskim, celując w potylicę. To, co z Kasi pozostało, przykryli gałęziami i udali się na majowego grilla. Kasia była wiarołomna, gdyż pożyczyła od kolegów 2000 zł i nie oddała. Wierzyli, że zachowali się w sposób właściwy wobec dłużnika, zgodny z tendencjami wyznaczanymi przez największe polskie instytucje finansowe. Nie jest to może postępowanie pragmatyczne, bo pieniądze prawdopodobnie nigdy nie odzyskają, ale ze wszech miar usprawiedliwione.

■ Jucha połała się w Szczecinie, gdzie dwóch mężczyzn jechało tramwajem z trzecim i tych dwóch z niewiadomych powodów, jak donoszą media, straciło panowanie nad sobą, układając trzeciego pięściami i wybijając mu zęb. Pobity nie był cudzoziemcem, dłużnikiem ani sportowcem. Policja to osobiście wydarzenie interpretuje nic nieznaczącym związkiem frazeolo-

gicznym „zachowanie o charakterze chuligańskim”. Z całą pewnością sprawcy zostaną skazani, ale posługujący się takim niewyrafinowanym aparatem pojęciowym aparat przymusu i wymiar sprawiedliwości do lepszego zrozumienia istoty człowieczeństwa nas nie doprowadzi.

■ Nie jest też bezpiecznie jeździć środkami komunikacji publicznej na warszawskiej Białolece. Jakiś pozba-

wiony zdolności taktycznych 23-latek zwrócił uwagę czterem innym na ich zbyt głośną konwersację. Przyzwyczajony do sytuacji, że pasażerowie jeżdżą w autobusach milcząc jak choinki, nie mógł znieść, że bywają jednak i tacy, którzy mają coś do powiedzenia. Jego agresja słowna wobec lepiej zsocjalizowanych warszawiaków wzbudziła ich słuszny gniew i agresję fizyczną. Pozbawiony wyobraźni milczek znalazł się w szpitalu z podejrzeniem pęknięcia kości twarzowej,

a przy okazji własną krwią zanieczyścił publiczny środek transportu.

■ Krew tryskała także w Lublinie, gdzie 25-letni mężczyzna w celu uciszenia ukochanej wbił w nią nóż kuchenny, a gdy dusza z ciała uleciała, ciało zapakował w foliowe worki, a te worki, włożył do walizki. O akcie swojej nieprawdopodobnej odwagi (to wcale nie jest łatwo zabić człowieka, wszyscy o tym wiemy) poinformował matkę, która prawdopodobnie bardzo się ucieszyła, że urodziła mordercę. Z lokalnej telewizji dowiedziela się, że syn jest także samobójcą – bo wyskoczył z XI piętra. Kolejną osobliwością jest to, że przeżył. O dalszych losach wyjątkowego lublinianina będziemy informować.

■ Jest niedziela, gdy trzeba oddać „Więści gminne i inne” do druku, a tu ani w Krakowie, ani we Wrocławiu, ani w żadnym z mniejszych miast w Polsce nikt nikomu dziś nie dołożył. Ludzie w majowym nastroju przechadzają się po bulwarach, tańczą w klubach albo narkają na PiS w kawiarnianych ogródkach. Czytelnicy nasi kochani! Bardzo trudno przejść do historii, robiąc coś sensownego; dużo łatwiej zagościć na szpalach, dając komuś wymownie w papę. No i trochę odpowiedzialności z waszej strony za nasze honoraria też by się przydało.

R.J.

Doniesienia zaczerpnięte zostały w dobrej wierze z prasy lokalnej jako godne upowszechnienia.



Rysunki TOMASZ WIATE

Straznicy niepoczętych jaj

Wojewoda in vitro nie przepuści.

Z pompą minister Konstanty Radziwiłł otworzył w grudniu klinikę leczenia niepłodności w Instytucie Centrum Zdrowia Matki Polki. Klinika była sztandarowym projektem w ramach Narodowego Programu Prokreacyjnego. Najlepsza kadra, kompleksowa diagnostyka i leczenie w jednym miejscu. Zapowiadano ją od objęcia przez Radziwiłła resortu zdrowia. Miała być „dobrą” odpowiedzią na budzącą w Radziwille „liczne kontrowersje” oraz „niezgodę dużej części polskiego społeczeństwa” metodę zapładniania in vitro. Przed otwarciem łódzkiej rozmnazalni ówczesny wiceminister Jarosław Pinkas wyśpiewał pean, że ośrodek „będzie emanował wiedzą na całą Polskę i na tym modelu będą budowane inne kliniki w ośrodkach akademickich”.

Do tej pory w klinikę wpompowano prawie 2,5 mln zł. Do dziś działająca niemal pół roku placówka nie przyjęła ani jednej pacjentki. Może dlatego, że nadal jest zamknięta, a może z powodu braku hajsu na badanie i leczenie. Klinika nie ma umowy z NFZ. Szał na jej działanie miał pochodzić z budżetu państwa i z funduszy europejskich. Ale szmalcu nie ma.

Jest za to stanowisko Ministerstwa Zdrowia, że we wzorcowej klinice „Zgłaszająca się para zostanie objęta opieką lekarza prowadzącego, którego obowiązkiem jest przeprowadzenie i zlecenie niezbędnych badań, skierowanie do leczenia oraz nadzorowanie i monitorowanie procesu diagnozy i terapii niepłodności”.

Po polsku znaczy to, że zamiast leczenia w klinice, lekarze będą diagnozować i udzielać wsparcia duchowego, a właściwie psychologicznego. Ministerstwo nie ma też zielonego pojęcia, kiedy będzie się można zapisać do kolejki.

Łódź

Centrum Zdrowia Matki Polki znajduje się w Łodzi. Tej samej, w której radni w zeszłym roku przegłosowali, że będą dofinansowywać zapłodnienie pozaustrojowe mającym problemy z zaciążeniem łodzianom. W ramach łódzkiego in vitro od lata tamtego roku po wydaniu ledwie pół miliona złotych 43 obywatelki zaszły w ciążę. Dwie z nich noszą w sobie nawet więcej niż jednego potomka.

Niesrający hajsem, chętni być rodzicami łodzianie i tak mieli fuksa. Mogli się na taki program zapalać, bo PiS nie miało jeszcze wypracowanej procedury, jak samorządowe in vitro uwalac.

Entuzjaści „bruzdy dotykowej” musieli na swój cwany pomysł wpaść z początkiem marca, bo Poznaniowi też się jeszcze upiekło. Głosowanie odbyło się tam w styczniu i nikt im programu nie uwalił.

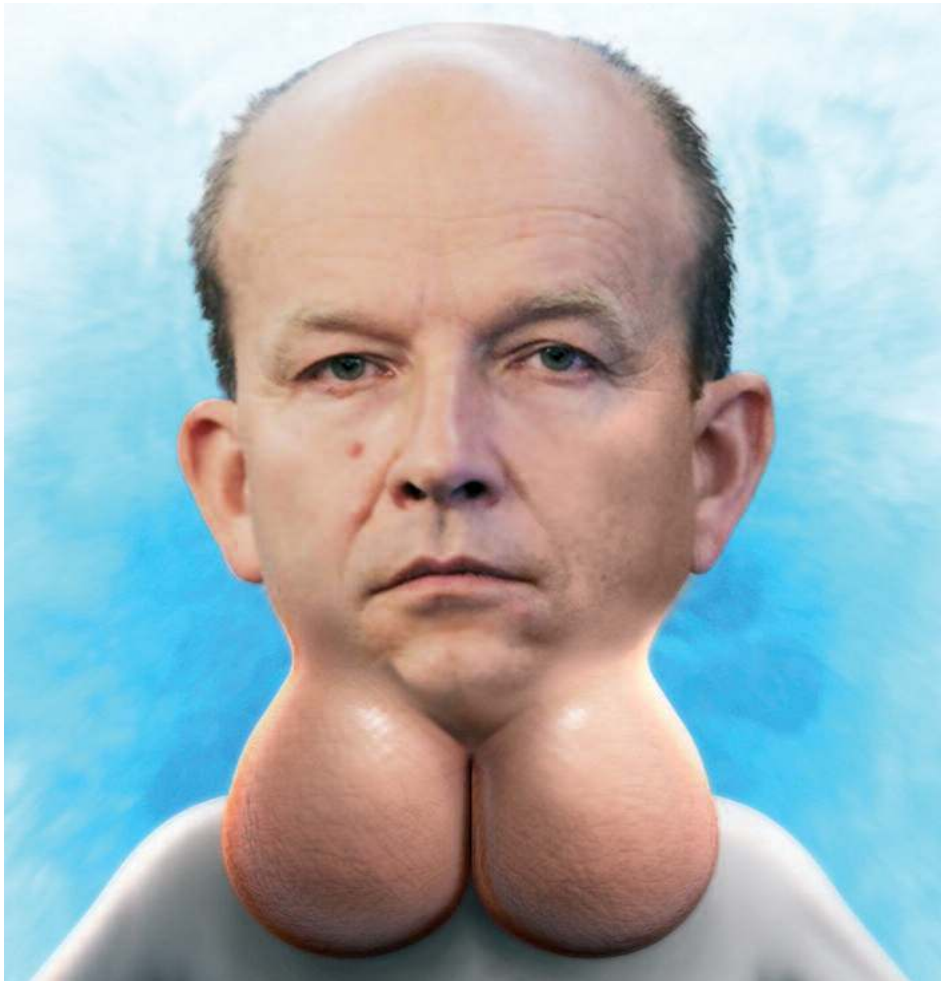
Gdańsk

Pisowska metoda na zablokowanie samorządowego zapładniania pozaustrojowego zaskoczyła dopiero w marcu – w Gdańsku. Tamtejszy wojewoda Dariusz Drellich unieważnił uchwałę Rady Miasta Gdańska dotyczącą „Programu wsparcia prokreacji dla mieszkańców Gdańska”. Najciekawsze jest uzasadnienie. Drellich uznał, że samorząd „nie wykazał dopełnienia obowiązku zasięgnięcia opinii Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji”.

I jakoś nie przekonało namiestnika rządu na Pomorzu to, że Gdańsk o opinie się zwrócił i czeka na jej wydanie. A ponieważ program miał ruszyć w lipcu, to w marcu AOTMiT miała na sporządzenie opinii jeszcze trochę czasu.

Zeby było jeszcze śmieszniej, to prawo nigdzie nie mówi, że jeśli agencji projekt nie przypadnie do gustu, to idzie się jebać. Rok temu pisiorski program „wsparcia leczenia niepłodności mieszkańców województwa mazowieckiego metodą naprotechnologii” uzyskał negatywną opinię agencji. I nie przeszkodziło to jakoś, żeby przykościelna szarlataneria zaczęła dostawać na hochsztaplerkę paramedyczną samorządowe pieniądze w dystrykcie marszałka Struzika.

Gdańscy radni chcieli wydać na in vitro zaledwie 1,1 mln zł. Każda ze starających się o potomstwo par miała być wsparta



ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

15 tys. zł. Szacowano, że w ciągu roku z programu skorzysta 200 par.

Chojnice

Cykora mają mieszkańcy Chojnic, też w województwie pomorskim. Radni umówili się tam, że lada chwila przegłosują program dofinansowania in vitro. Program wart tylko 250 tys. zł rocznie.

I jak myślicie, gdy do Drelicha dotrze wypowiedź burmistrza Chojnic Arseniusza Finstera z posiedzenia samorządu, to co zrobi wojewoda pomorski?

„Naprotechnologii nie można stosować w nieskończoność, jeśli nie przynosi rezultatu, a in vitro daje ok. 40 proc. szans na dziecko. Chcę, by nasza dyskusja nie była polityczna i światopoglądowa. Jeśli ktoś zgadza się z nauką Kościoła lub z prof. Chazanem, nie musi przecież korzystać z tej możliwości, jaką chcemy dać. Jestem przekonany, że poprzez komisję społeczną i zaangażowanie różnych osób możemy przeprowadzić szereg spotkań i konsultacji. Chojnice mają szansę dołączyć do kilku dużych miast w Polsce, które refinansują lub współfinansują in vitro”.

Bydgoszcz

Drellich robi to, co z uchwałą z Gdańska. Choć prawdopodobnie wzbogaci swoje zastrzeżenia o pomysły kolegi, wojewody kujawsko-pomorskiego Mikołaja Bogdanowicza.

Jego zdaniem uchwała Rady Miasta Bydgoszczy w sprawie programu „leczenia niepłodności metodą zapłodnienia pozaustrojowego – in vitro w latach 2017–2020” jest nieważna. Bo „w sposób istotny naruszyła prawo”. Jak?

Wnioskodawcą programu jest bydgoszczanin, poseł Michał Stasiński. Gdy zbierał podpisy pod projektem, był jeszcze

w Nowoczesnej, teraz jest w PO. I to jest właśnie „istotne naruszenie prawa”.

Zdaniem wojewody przyjęty uchwałą program został opracowany przez partię Nowoczesna wraz ekspertami, a organy gminy w tym nie uczestniczyły. Tymczasem ustawa o świadczeniach opieki zdrowotnej finansowanej ze środków publicznych stanowi, że opracowanie programu polityki zdrowotnej jest zadaniem własnym gminy.

Bogdanowicz skorzystał też z pomysłu Drelicha. Wyraził bowiem zastrzeżenia do legalności wprowadzenia autopoprawek do programu po zaopiniowaniu go przez Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji.

Sęk w tym, że radni, żeby zdążyć dostać opinie, wysłali ją w wersji, którą potem w głosowaniach nieco zmodyfikowali. Chodziło nie o meritum, ale o liczbę par i kwoty. Pierwotnie zakładano finansowanie w 100 proc., a w wersji przyjętej przez radnych – 80 proc. Miało być 240 par, po głosowaniach zostało ok. 100. Zakładano, że pójdzie na to ok. 3,6 mln zł, przyjęto w uchwale 1,5 mln zł.

Wojewoda uznał, że program zaopiniowany przez agencję i przyjęty przez radnych to w istocie 2 różne dokumenty, bo po „dokonaniu tak istotnych zmian projekt powinien podlegać procedurze ponownego zaopiniowania”. I bezpieczny produkt o niesamorządowej proveniencji odstrzelił.

Gdy startował Narodowy Program Prokreacyjny, odpowiedzialny za jego wdrożenie wiceminister opowiadał na konferencjach prasowych, że przyczyna bezpłodności leży po stronie mężczyzn. A właściwie tego, że chodzą w opiętych slipach, przez co ich jądra nie robią tego, co powinny. Po ponad roku widać, że mówiąc o jajach, wiedział, co mówi.

TADEUSZ JASINSKI

Wojewoda warmińsko-mazurski nie ma na podorędziu żadnego in vitro, które mógłby zablokować. Ale spokojnie. W tamtejszym urzędzie szykuje się numer z tej samej seksualnej bajki. Podległe wojewodzie służby prawne majstrują właśnie unieważnienie programu służącemu rui, poróbstwu i rozpuście.

Miejscowy sejmik wojewódzki uznał bowiem, że ubogim dziewczątkom mającym dziś po 11–13 lat należy zaoszczędzić w przyszłości raka szyjki macicy. Zaklepano zatem program zawierający kampanię edukacyjną i szczepienia dziewczynek z rodzin „zagrożonych ubóstwem i wykluczeniem społecznym”. Czyli jakieś 4,1 tysiąca dziewczynek. Szczepienia i uświadamianie mają trwać do 2019 r. A na dodatek kasa na to – czyli 2,5 mln zł – pójdzie z pieniędzy unijnych.

Bo PiS ze szczepieniami przeciw HPV ma na pieńku od dawna. Kilka miesięcy temu wyrzuciło do kosza koncepcję, aby szczepienia były powszechne i w pełni finansowane przez NFZ. Ministerstwo Zdrowia pozostawiło jednak szczepionki przeciw wirusowi brodawczaka ludzkiego w tzw. grupie świadczeń zalecanych, acz niefinansowanych z budżetu. Teraz taka rekomendacja ma zniknąć.

A wraz z tym i publiczne szczepienia, które funduje już swoim młodym obywatelkom ponad 220 samorządów różnych szczebli.

Zygota do złota

Jak powszechnie wiadomo, polska prawica ma problem z in vitro. Szczególnie PiS, dość gęsto zaludnione przez katolickich integrystów – co niekoniecznie cieszy prezesa Kaczyńskiego.

Nie ma on specjalnej ochoty na kolejną wojnę z babami, ale czarnym też nie chce podpaść, wolałby więc, żeby problem zapłodnienia pozaustrojowego znikł z powierzchni ziemi przynajmniej na najbliższe kilka lat. W wyniku kunktorstwa prezesa obecna władza najwyraźniej nie wie, co zrobić z in vitro i wysyła mieszane sygnały.

Z jednej strony – posłowie PiS nie poparli masowo

antynitrowego projektu posła Jana Klawitera. Klawiter, były burmistrz Rumi, wybrany z list PiS z poparciem Prawicy Rzeczypospolitej, chciał zapisać, że w ramach procedury in vitro wolno stworzyć tylko jeden zarodek, który w ciągu trzech dni musi być kobiecie wetknięty, choćby było wiadomo na pewno, że zaraz tam uświerknie i którego w żadnym wypadku nie wolno zamrozić. Projekt Klawitera wprawdzie nie został odrzucony w pierwszym czytaniu – czego domagała się PO – ale chwilę później został cichaczem wycofany. Podobno dlatego, że podpisy wycofało kilku posłów od Kukiza, a w PiS zabrakło chętnych do ich zastąpienia.

Z drugiej strony – pisowscy wojewodowie pod różnymi formalnymi pretekstami

uwalają uchwały samorządów dotyczące programów in vitro finansowanych ze środków lokalnych: pod koniec kwietnia w łeb dostał projekt gdański, a ostatnio bydgoski. Oliwy do ognia dolewają katoprawicowe media, które głoszą apokaliptyczne wizje wywołanego przez zapłodnienie pozaustrojowe końca ludzkości. „Metody zwiększające częstość mutacji, takie jak in vitro, mogą zabić całą populację, nawet jeśli stosuje się je u jednego czy dwóch procent osobników” – straszył ostatnio w Telewizji Republika prof. Stanisław Cebrat.

Wszystko to tak naprawdę kręci się wokół problemu

liczby zarodków. Jeśli zapłodnienie pozaustrojowe ograniczyć do jednej sztuki i dodatkowo zakazać jej mrożenia – jak chciałby poseł Klawiter – to problem in vitro zniknie, gdyż jego skuteczność będzie tak marginalna, że nikt nie będzie zwracał sobie głowy tą skomplikowaną, kosztowną i nader przykrą procedurą. Zdaniem prof. Waldemara Kuczyńskiego z Polskiego Towarzystwa Ginekologicznego, przy tych zasadach nie więcej niż 4 kobiety na 100 w ogóle zająd w ciążę, a przecież sporo z tych, co zaszły, poroni. Z drugiej strony wszakże faktyczna delegalizacja in vitro może wywołać awanturę, której prezes nie chce. Rodzi się zatem pytanie: co zrobić z dodatkowymi zarodkami, żeby jednocześnie nie zablokować leczenia bezpłodności na amen, ale też uszanować interes, tfu, przepraszam wrażliwość Kościoła kat.

I oto pojawiło się rozwiązanie. Australijska firma Baby Bee Hummingbirds, oferująca dość oryginalne usługi na odcinku upamiętniania procesu rozrodu – bransoletki z mleka z piersi i z koraliki z kikuta pępownicy – rozszerzyła ofertę o

biżuterię z nieużytych embrionów. Rodziny, które cierpią na nadmiar wyprodukowanych w procesie in vitro zarodków i nie są w stanie (bądź nie chcą) zapłacić za mrożenie ich w nieskończoność, ale także nie mają ochoty przeznaczyć ich do adopcji, wysyłają próbówki ze swoimi nadprogramowymi embrionami do przemiłych Australijczyków, którzy

poddają je fachowemu procesowi kreacji, uzyskując unikatowy „embrionalny proch”, który następnie barwią na dowolnie wybrany kolor i zatapiają w żywicę epoksydowej. Tak uzyskane paciorki – w cenie od 80 do 600 dolarów – można obsadzać w naszyjnikach, pierścionkach i biżuterii innego typu.

„Nie sądzę, żeby na świecie była jakaś inna firma, która tworzy biżuterię z ludzkich embrionów i głęboko wierzę, że jesteśmy pionierami w świętej sztuce i otwieramy nowe możliwości dla rodzin na całym świecie” – mówi założycielka firmy, Amy McGlade, z zawodu położna. – „Czy dla uczczenia i upamiętnienia tego najcenniejszego daru, jakim jest dziecko, można znaleźć lepszy sposób niż biżuteria?” – pyta. Osobiście

proponują wota. Takie niewielkie serduszka oprawione w złoto.

No i nie zapominajmy, że technologia spopielenia plastikowej próbówki z odrobiną materiału genetycznego nie może być zbyt skomplikowana. Cóż stoi na przeszkodzie, żeby powołać kościelną fundację, która będzie świadczyć tę usługę za stosowną opłatą – nie żartujmy, nie 600 dolarów, to jest warte znacznie więcej. Zwłaszcza jeśli w pakiecie dorzuci rozgrzeszenie.

Nawet Kościół musi iść z postępem, jak naucza papież Franciszek.

AWŁ



Człowiek, który gapił się na Trumpa

Jak zapewne pamiętamy, podczas kampanii wyborczej Donald Trump obiecywał wsadzić Hillary Clinton do pudła. Atoli już w grudniu podczas dziękczynnego tournée po Stanach ówczesny prezydent elekt, zachęcany przez tłum skandujący „Zamknij ją!”, odrzekł z podziwu godną szczerością: „**To świetnie brzmiało w kampanii, ale już mi nie zależy**”.

I rzeczywiście. Zamiast przesłać Hillary Clinton, Trump wziął się za jej kontrkandydata: pokonanego w demokratycznych prawyborach głosami partyjnej elity, niezależnego socjalistę z najbardziej postępowego stanu Vermont, Berniego Sandersa.

Obecny prezydent po stu dniach urzędowania ma najniższe notowania w historii współczesnej prezydentury. Według różnych sondaży dobrze ocenia go zaledwie 40–42 procent wyborców, źle 53–54 procent. Natomiast najpopularniejszym, najlepiej ocenianym politykiem w Stanach jest dziś właśnie Bernie Sanders, który ma 57–61 proc. aprobaty i tylko 32 procent przeciwników. To też nie dziwota, że FBI ogłosiło właśnie, że prowadzi dochodzenie przeciwko Berniemu w sprawie oszustwa – a tak w zasadzie to jego żonie, ale przecież Bernie na pewno był w to jakoś zamieszany, chociażby przez swój autorytet, który wzmacniał pozycję Jane O’Meara Sanders. A ta wykorzystywała ją do wyludzenia pieniędzy z banku i narażenia na straty katolickiej diecezji w Vermont, która przez to nie może prowadzić swojej szlachetnej działalności charytatywnej.

Przynajmniej tak chciał to zaprezentować niejaki Brady Toensing, który w styczniu zeszłego roku wystosował donos do federalnego prokuratora stanowego. „**Pani Sanders i jej mąż zbudowali polityczne kariery na krucjacie przeciwko korporacyjnej korupcji i deklaracjach chęci pomocy potrzebującym. Tymczasem diecezja naprawdę pomaga potrzebującym: wspiera setki ubogich vermonckich rodzin, prowadzi domy starców, zapewnia opiekę duszpasterską w więzieniach i wspiera wiele innych istotnych działań charytatywnych**” – napisał Toensing do prokuratora Erica S. Millera, dodając, że „**bezprawne działania pani Sanders spowoduje wymierne krzywdy najbardziej potrzebujących mieszkańców stanu**”.

To, czego pan Toensing w swoim donosie nie wspomniał – to fakt, iż jako wiceszef partii republikańskiej w stanie Vermont był menedżerem stanowej kampanii Donalda Trumpa, toteż napaść na potencjal-

nego kontrkandydata nie była zupełnie bezinteresowna i podyktowana wyjątknie troską o dobro diecezji i wiernych. A także iż diecezja potrzebowała pieniędzy nie tyle na pomoc potrzebującym, ile na odszkodowanie dla 25 ofiar vermonckich księży pedofilów, którym musiała zapłacić w sumie 17,6 mln dolarów. I nawet nie to jest w tej sprawie najważniejsze.

Oskarżenie żony senatora, znanego z bezwzględnej walki ze skrupupowaniem amerykańskiego systemu politycznego, o wyludzenie pieniędzy z banku jest ciosem, który może zakończyć karierę najbardziej popularnego polityka w Stanach. I to w momencie, w którym

Bernie Sanders jest faktycznym liderem batalii przeciwko ustawie znoszącej „Obamacare” – czyli najważniejszą reformę prezydentury Baracka Obamy, zapewniającą ubezpieczenie zdrowotne kilku dziesięciu milionom uboższych Amerykanów. Trump obiecywał w kampanii zniesienie tej „socjalistycznej” ustawy i zastąpienie jej rozwiązaniem, które będzie gwarantować więcej opieki zdrowotnej za mniej pieniędzy – co jest oczywiście absurdem

i w istocie rzeczy sprowadza się, jak trafnie i dobitnie tłumaczy Sanders, do wprowadzenia olbrzymich ulg podatkowych dla najbogatszych i zostawienia uboższych na lodzie. Według sondaży, 56 procent Amerykanów jest przeciw Trumpowej reformie, popiera ją zaledwie 17 procent. Polityczne zabójstwo Sandersa jest w tej chwili racją życia dla Trumpa, który po pierwotnej klęsce kolanem przepchnął swój projekt przez pierwszy etap legislacji, ale ma przed sobą jeszcze cięższą batalię w Senacie.

Tymczasem zarzuty wobec żony Berniego nie mają nic wspólnego z wyludzeniem. Jeśli o cokolwiek można ją oskarżyć – to o nietrafioną inwestycję, podyktowaną wielkimi marzeniami, czyli o czyn stanowiący fundament „amerykańskiego snu”. Co więcej – zarówno inwestycja, jak i marzenia Jane O’Meara Sanders nie były prywatne, zdążające do osobistego wzbogacenia się, tylko miały służyć rozwojowi uczelni, której była rektorem.

Burlington College był uczelnią prywatną, ale działającą na zasadzie non profit.

Jane O’Meara Sanders objęła stanowisko rektora Burlington College w 2004 r. Pod jej kierownictwem kwota darowizn dla uczelni – zbieranie funduszy jest jedną z podstawowych funkcji amerykańskich uni-

wersytetów – wzrosła 10-krotnie, choć nie da się ukryć, że ambitne plany rektor Sanders przekroczyły możliwości kierowanej przez nią placówki. W 2010 r. zdecydowała ona o zakupie nowej siedziby: 13 ha wraz z budynkami, należących do katolickiej diecezji, która musiała sprzedać swe nieruchomości, żeby zapłacić ofiarom księży swawoli.

Koszt zakupu wyniósł ponad 10 mln dolarów – z czego 6,5 mln miało pochodzić z kredytu bankowego, a 3,6 mln uczelnia miała spłacać diecezji bezpośrednio. Zabezpieczeniem kredytu, poza samymi nieruchomościami, miały być przyszłe granty i zapowiedziane darowizny dla Burlington College. Niestety uczelnia zdobyła jedynie 25 proc. potrzebnej kwoty, nie udało się także planowane przez Sanders radykalne zwiększenie liczby studentów, co spowodowało postawienie kredytu w stan wykonalności i konieczność sprzedaży nieruchomości. Bank najprawdopodobniej odebrał co swoje, uczelnia podpisała ugodę z diecezją, płacąc jej 1,6 mln w gotówce i milion w papierach wartościowych – ale w efekcie, po jeszcze kilku latach walki, w 2016 r. szkoła ogłosiła upadłość. Sanders odeszła z uczelni jeszcze w 2011 r., można więc dyskutować, jaki procent klęski ją obciąża – choć nie ma wątpliwości co do tego, że u zarania problemu legł jej zbyt ambitny plan inwestycyjny. Z drugiej jednak strony ambitne inwestycje, także nieudane, są tym, co tworzy legendę przedsiębiorczej Ameryki. Dzisiejszy lider wolnego świata ogłaszał bankructwo 6 razy i nie przeszkodziło mu to w uchodzeniu za genialnego biznesmena, sól amerykańskiej ziemi.

Dochodzenie, które FBI prowadzi dziś przeciwko Jane Sanders, a tak naprawdę senatorowi Berniemu Sandersowi, nie dotyczy zresztą błędów w zarządzaniu czy doprowadzenia uczelni do upadku: zarzuca jej się, że nie miała dostarczających podstaw dla przewidywania kwoty potencjalnych darowizn; inaczej mówiąc, że bogaci ludzie, którzy obiecali Burlington College kasę, nie dotrzyмали słowa, a może nawet nie obiecywali tak całkiem serio. Nazwanie tego dochodzeniem w sprawie oszustwa jest oczywiście manipulacją Trumpowego FBI, obliczoną na uderzenie w najważniejszego krytyka prezydenta Trumpa.

Czy wyborcy dadzą się zrobić w balona i kupią wydziergany przez administrację Trumpa paszkwil? Chciałoby się powiedzieć: wykluczone, ale zbiorowa mądrość narodu amerykańskiego może budzić pewne wątpliwości.

AWŁ

Sam na sam z oprawcą

Jedną z ofiar ustawy pozbawiającej świadczeń emerytalnych byłych „oprawców państwa totalitarnego” jest generał Adam Rapacki. Tak się złożyło, że byłem pierwszym dziennikarzem, który w prasie centralnej opublikował rozmowę z tym milicjantem.

Jako zastępca redaktora naczelnego „Gazety Sądowej” byłem umówiony na „usługową” rozmowę z komendantem wojewódzkim MO w Krakowie. Gdy przyjechałem do Krakowa, okazało się, że komendant musiał służbowo wyjechać. Przyjął mnie rzecznik prasowy Komendy – porucznik Adam Rapacki – tylko po to, żeby mnie przeprosić za sprawiony zawód. Wdałem się z nim w zdawkową rozmowę. Po chwili jednak spytałem, czy mogę włączyć magnetofon, bo młody milicjant mówił o rzeczach, o których nigdy dotąd nie słyszałem.

Rozprawiał o fałszowaniu przez jednostki milicyjne sprawozdań i statystyk wykrywalności przestępstw dla osiągnięcia przez milicjantów korzyści w formie awansów oraz premii i nagród. Mówił o tych nadużyciach z takimi szczegółami, jak gdyby czytał protokół kontroli.

Po zakończeniu rozmowy zapytałem, czy mogę ją opublikować. Odpowiedział obojętnie: „No, oczywiście” czy tak jakoś. Ale



z publikacją nie było łatwo. Tekst zatrzymała cenzura. Redaktor naczelny Zygmunt Frank miał dość odwagi, żeby ją odwojować, co ułatwił mu fakt, że „Gazeta Sądowa” była organem Ministerstwa Sprawiedliwości. Artykuł w druku okazał się sensacją. Jego fragmenty przedrukowało kilka gazet i czasopism.

Miałem niespokojne sumienie w stosunku do młodego, drobnego milicjanta z Krakowa. Gdy po iluś latach został generałem, przyjąłem tę wiadomość prawie z ulgą.

W lipcu 2015 r. Marcin Kącki opublikował w „Dużym Formacie” rozmowę z generałem Rapackim. W jednym z pytań sugerował, że rozmówca jako milicjant „służył złemu państwu”. Napisałem do sławnego dziennikarza list, ukazując w nim, jakie Rapacki miał w tym służeniu przypadki. List pozostał bez echa.

Tadeusz Kucharski

Dekomunizacja do spodu

PiS, odkąd dorwało się do władzy, prowadzi akcję ogłupiania obywateli pt. dekomunizacja sfery publicznej. Usuwane są nazwy ulic, pomniki kojarzące się z Polską Rzeczpospolitą Ludową, pisana jest nowa wersja historii w podręcznikach szkolnych. Kolejny raz przeszła ustawa obniżająca renty i emerytury funkcjonariuszom służb bezpieczeństwa PRL, jednak tym razem geniusz prawnicy poszli krok dalej – obniża obejmie każdego, kto choć jeden dzień przepracował w organach państwowych czy wojsku przed 1989 r.

Jednak prawni i sprawiedliwi politycy zapomnieli widocznie o sobie. Skoro prawica określa dziś PRL jako państwo niemające prawa istnieć, które w całości należy potępić i zakwestionować, jak mogą dzisiaj kształtować polską rzeczywistość, bazując na infrastrukturze, nauce, osiągnięciach technicznych oraz wykształceniu obywateli tego totalitarnego państwa? W końcu, według nowej wersji historii, w szkołach nie uczono niczego poza naukami Marksa i Lenina, a kraj był rujnowany przez okupanta zza wschodniej granicy.

W tym wypadku profesorowie, nauczyciele, pracownicy cywilni wojska, lekarze i wszyscy inni, którzy ukończyli studia w PRL (za darmo, a jeszcze stypendia dostawali), chłopci, którzy dostali ziemię z reformy, wszyscy powinni oddać to, co do-

stali od Polski Ludowej. Nie zapominajmy też oddać kluczy od mieszkań rozdawanych za póldarmo przez budownictwo spółdzielcze (ze szczególnym uwzględnieniem przytulnego mieszkania na Żoliborzu przyznanego tatusiowi znanych bliźniaków), mieszkań wykupionych potem za grosze. A co z kościołami i budynkami sakralnymi? Ile z nich zostało zbudowanych w PRL? Dekomunizatorzy powinni być konsekwentni.

Proponuję, aby w tym dekomunizacyjnym szale iść jeszcze dalej i po prostu zabrać obywatelstwo wszystkim urodzonym przed 1989 r., bo są skażeni i wypaczeni przez ideologię socjalistyczną. To samo dotyczy się infrastruktury – zburzyć wszystko, co zostało zbudowane w latach 1945–1989 – wszystkie mieszkania, drogi, mosty, dworce, fabryki, szkoły, uniwersytety i kościoły. Wtedy będziemy mogli mówić o pełnej dekomunizacji. Jednak tak się nie dzieje. Co więcej, osiągnięcia PRL przypisują sobie. Jakoś dziwnym trafem prawnicy politycy zapominają o najczarniejszej komunie i totalitaryzmie, gdy dla nich jest to wygodne. Przecież dzisiejsza władza socjalizmowi zawdzięcza wszystko. Żyliby w czworakach, byłiby wyrobnikami, ratajami, pastuchami i może byłiby nawet szczęśliwi? W trudzie i znoju doczekaliby likwidacji analfabetyzmu, posyłaliby dzieci do szkoły, te zdolniejsze pokochałyby może i studia (...).

C.M.

Tygodnik „NIE” jest od niedawna dostępny nie tylko w kioskach, ale także na smartfonach i tabletach z systemami iOS (urządzenia Apple) i Android (m.in. produkty Samsung, LG, Sony, Huawei, HTC, Motorola, Lenovo, Xiaomi).



Aby pobrać aplikację, wystarczy na urządzeniach z systemem iOS:

1. Wejść do sklepu z aplikacjami App Store.
2. W pole wyszukiwania wpisać Tygodnik NIE.
3. Kliknąć **POBIERZ**, a następnie **INSTALUJ**.
4. Uruchomić aplikację i ściągnąć wybrane wydanie.

Na urządzeniach z systemem Android:

1. Wejść do Sklepu Play.
2. Wyszukać Tygodnik NIE.
3. Kliknąć **ZAINSTALUJ**.
4. Otworzyć aplikację i kliknąć **KUP** przy wybranym egzemplarzu.

W zależności od dostępnych opcji za zakup można zapłacić kartą debetową/kredytową, dopisując wydatek do rachunku telefonicznego lub płacąc kodem z karty upominkowej.

Warto przetestować naszą aplikację już dziś – tym bardziej że przygotowujemy do pobrania specjalny darmowy numer „NIE”, który dostępny będzie wyłącznie w wersji elektronicznej.

REDAKCJA

Daniszewska: – Widzisz, Wołku, od początku śledzę posła Łapińskiego, bo po pierwsze powiat Łapy, poczta Trypucie...

Wołk-Łaniewska: – Ty, ale on jest z Warszawy. Studiował na uniwerku, był stołecznym radnym z Pragi, większość życia spędził na Nowogrodzkiej.

– Łapy w człowieku zostają, nawet jak nigdy tam nie był. A po drugiej wpadł mi w oko, gdy pani Szydłowa po raz pierwszy szła nadeła do telewizji na Woronicza w Warszawie. Ona kroczyła, a on przykuł moją uwagę grą ciała. Biegł otóż chłopina przed nią, skacząc jak, nie przymierzając, małpa. Widać w nim było, że zadowolony. Widać było, że cieszy się niezmiernie, iż postawił na dobrego konia.

– No i co z tego? Postawił. W październiku już było wiadomo, że PiS wygra wybory i Szydło zostanie premierem, to co miał się nie cieszyć. Zwłaszcza że rok wcześniej ten biedny Łapiński rzecznikował koncepcji premiera technicznego profesora Glińskiego, mógł więc mieć chłopak traumę... A do tego trzeba mu przyznać, że jest odważny. Składa mandat poselski, żeby gadać za Dudę, który już dwóch rzeczników przerobił przez dwa lata. Statystycznie rzecz biorąc, będzie szukał roboty wiosną 2018...

– Widzisz, jaki odważny? I do tego ma chłopina urodę niebanalną, co też mi się podoba, bo ten typ urody zawsze sobie cenię. Wyraził nos, ciemne oczy i tak dalej. Nazwisko Łapiński też może być zmienione. Wcześniej mógł być Potocki. No więc zachwyciłam się nim i mu się przyglądałam. I zobaczyłam, jak wymięka przy Trybunale Konstytucyjnym. Spuścił z tonu i – co tu dużo mówić – uprawiał nie krytykę, lecz krytykanctwo. Wówczas jeszcze bardziej się wbiłam w jego wypowiedzi. Jego skakanie wyparowało, a że byłam w niego wpatrzona, zauważyłam, że wymięka. – A co ja, kurwa, zrobiłam, żeby wylądować w pierdlu? A ta Szydłowa ma mnie w swojej grubej dupie... – czytałam w jego myślach. – Jestem młody, zdolny, dlaczego mam płacić za chujowe pomysły Szyski i skomplikowane kontakty Macierewicza. O przepraszam, Macierewicza – poprawił się w myślach, ja to wszystko czytałam. Ja mam mózg Łapińskiego, rzecznika Dudy, połączony z moim.

– Jezusie Nazareński Nieistniejący!

– To przez te Łapy. No i patrzę, a mój faworyt wypłynął. Już nie skacze, ale został mężem stanu. Rzecznikiem prezydenta. Ja się jednak na rzecznikach znam! Z wypiekami na twarzy będę dalej śledziła jego karierę. Żeby tylko małżeństwo nie przegięło. Musisz być ostrożny, dbaj o siebie. Duda nie jest wart twojego zwieńczenia kariery. A on nie rokuje najlepiej. Pamiętaj, ja mu drugiej kadencji nie wróżę. Uważaj na siebie.

– Kto, ja?

– Nie ty, tobie pies mordę lizał, Krzys nasz słodki. Tak mówię do niego na ty, bo chyba jeszcze można.

– Nie byłabym taka pewna. W końcu to Krzys w randze ministra...

– Trudno, zaryzykuję. Serce mi tak dyktuje. Zmieniając temat: mam też do ciebie, Wołku, bardzo ważne pytanie. W pewnym miejscu flamastrem zostało napisane: „Bóg jest wszędzie!”. Wyjaśnij mi, Wołku, czy to jest afirmacja nieistniejącego, czy jego profanacja?

– A dlaczego profanacja?

– Bo skoro jest wszędzie, co doskonale wiemy, to może być też w koszu na śmieci w naszym parku. Jak wszędzie, to wszędzie.

– W waszym konstancińskim parku? Toż to bardzo wykwinne miej-

Dialogi dam w drodze do kościoła

GOŚKA DANISZEWSKA przeżywa orgazm. Od początku śledzi losy posła Łapińskiego. Zajeduje całą redakcję analizą jego posunięć – politycznych oczywiście, bo babiną jest w podeszłym wieku. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** jeździ na nartach. Na sztucznym śniegu pod dachem, ale nie w Dubaju, tylko na Litwie. Tej to już się naprawdę na mózg rzuca.



W hotelu na przykład. Albo w hotspotach...

– Na szczęście nie mam pojęcia, co do mnie mówisz. Zmieniając temat: zauważyłaś, że śledztwo w sprawie wypadku Szydło zostało przedłużone o kolejne trzy miesiące? A krakowski prokurator ma odpowiedzieć tylko na dwa pytania: jak szybko jechali i czy jadąc, wyli? Dwa proste pytania, na które nawet ja znam odpowiedzi. Na co oni liczą? Że naród zapomni? Że przekupią lub zastraszą świadków? Pierdola o niewydolności wymiaru sprawiedliwości, a przedłużają postępowanie jak Chińczycy penisy.

– A propos chińskiej nauki: jestem oczarowana odkryciem profesora Xiaolin Wu i magistra Zhang Xi z uniwersytetu Jiao Tong. Opracowali oni cztery algorytmy, na podstawie których można po twarzy poznać, czy ktoś jest kryminalistą, czy nie.

– To Cesare Lombroso opracował sto lat temu z górą.

– No więc właśnie o to chodzi. Lombroso opracował, a potem inni obalili, a teraz nowi naukowcy udowodnili, że Lombroso miał rację, tylko nie miał odpowiednich narzędzi, bo do tego trzeba analizy komputerowej, która jest niezawodna w 90 procentach. Na przykład: kryminaliści mają oczy osadzone 5,6 procenta bliżej niż niekryminaliści. Ale nie to jest najciekawsze. Najciekawsze jest to, że porównując 1856 zdjęć, wśród których było 730 skazanych przestępców i 1126 niekaranych, naukowcy stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że ci drudzy różnią się między sobą mniej. Twarze kryminalistów wykazywały większy stopień różnorodności niż twarze obywateli przestrzegających prawa. Inaczej mówiąc, w Chinach ludowych oryginalna facjata predestynuje cię do życia poza prawem. I jak patrzę na te pszenno-buraczane oblicza naszej elity władzy, to czasem sobie myślę, że u nas tak samo.

– No, chyba żeby chodziło o ministra Łapińskiego. Też elita, a twarz jakże inna. Wracając do rzeczywistości: uwielbiam deszcz. Przed domem mam lekkie wglębenie, gdzie po każdym deszczu zbiera się woda. Dzięki temu wczoraj i dzisiaj wieczorem mam czyste nogi. Włazę do tego minibajorka, rozmiękczam stopy w deszczówce, szuram stopami po kostce granitowej i mam czyste nogi. Oszczędzam na pedicurze i czuję się cudownie. Wiesz, Wołku, ja z całej swojej urody zachowałam piękne dziewczęce stopy. Czego i tobie życzę. Pa.

daniszewska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

sce, w pełni godne najwyższego. Gdyby, co nie daj boże, bóg miał się znaleźć w kubie na skwerku na Pelcowiznie, przed zakładem sieci kanalizacyjnej przy Batalionu Platerówek, to wtedy niech nas ręka boska broni...

– Tak myślałam, że ty się na bogu dobrze znasz. A ja nie wiem, czy pisał to gorliwy wyznawca, czy może nasz kolega.

– Wyznawca.

– To filozoficzne pytanie...

– Toć ci mówię, nie ma żadnej filozofii, katol jak ta lala. Pewnie właśnie zgrzeszył myślą albo i uczynkiem, trącając kapucyna w kieszeni na widok cycków sąsiadki i odczuł kompulsywną potrzebę wyznania wiary.

– Ty to zawsze musisz wszystko tak przyziemnie... A ja chciałam powiedzieć, że głębokie to pytanie pomoże nam nasze gadanie przemieścić o szczebel wyżej, tak jak nogi w czasie jogi. Patrz, jak nam – a właściwie mnie – wyszło do rytmu.

– Ślicznie.

– No i wreszcie była burza z piorunami i ulewą, co zmienia moje życie i spojrzenie na świat. Uwielbiam! Dziś darła na mnie mordę – co ja, kurwa, zrobiłam z tą pogodą! Zwierzęta nie rozumieją działania pilotów do drzwi, garażu i bramy. Uważają, że jestem bogiem, skoro, nie wysiadając z auta, robię myk i otwieram.

– Wielkie pytanie rybek akwariowych: jeśli boga nie ma, to kto nam sypie pokarm?

– Otóż to. Dostają też ode mnie manę z nieba, czyli suchą karmę z pudełka. A jak tak otwieram te wrota, to budzi ich wielki szacunek i umacnia ich wiarę we mnie. A o to mi przecież chodzi. Bardzo mi to odpowiada.

– Modlą się do ciebie?

– Powinny?

– No pewnie. Nawet niektóre dzieki zwierzęta to potrafią. Szympany na przykład modlą się do świętych drzew, rzucając w nie kamieniami. Specjalnie zbierają takie kamienie pod konkretnymi drzewami i każdy szympan, co przechodzi w okolicy, podnosi kamulec i jeb nim w pień! Z wyjątkiem ateistów oczywiście.

– To tak jak katolicy się krzyżują, przechodząc koło kościoła?

– Dokładnie. Słonie wymachują gałęziami do księżycy w pierwszej kwadrze, a podczas pełni uprawiają rytualne kąpiele oczyszczające. Powinnaś nauczyć swoje bydło jakiejś modlitwy do siebie albo choć rytuału.

– E tam i tak wolę je od ciebie. I wikipedii.

– A co do tego ma wikipedię?

– Jesteście nierozłączne.

– Nieprawda, bo jak wyjeżdżam z UE, to oszczędzam na transferze danych w roamingu i wtedy mogę być z nią tylko od czasu do czasu.

TRYBUN@
LUDZI



**Dolna warg
do przodu
i w bój!**

Facebook

Anna M. Kotulska: Nie bardzo kumam, o kogo chodzi... Staram się nie oglądać wiadomości z obawy o zdrowie psychiczne. Ale jeśli macie na myśli Grzegorza Zkretyna, to niech spierdala w podskokach!

Renata Muszyńska: Rozumiem, że w tym tygodniu komentujemy człowieka z dupą na brodzie?

Marian Grodz: Tzw. szuflada, ala Benito!

Mirosław Pałkowski: Równaj! Górna do dolnej i w tył zwrot. Czołem.

Strona www

Dżajkel Mekson: Dolna warg? Czy chodzi o wargę sromową? I dlaczego tylko jedna? Czyżby Trybuna miała jakieś pofuorne informacje, że wódz jest kobietą?

Pancerfaust: Eeee tam! Nasz wikary powiada, że z jedną wargą sromową rodzą się tylko dziewczynki z in vitro. A wódz staropolskim obyczajem zgodnie z tradycją poczęty został – z dupczenia.

BOG: Dolna warg, górna warg – znaczy ma w poprzek.

Meander: Przestańcie już z tym wódem, mam zajady i nie mogę się śmiać.

Forum

Kum: Długopis silniejszy of miecza!

Pantryglodytes: Śniło mi się żem Wódz, a to mara broi. Budzę się, Wódza nie ma, tylko dyszel stoi.

Kanakk: Nie wódz, tylko wozak.

Boruch: Benito – całkiem dobry wzorec. Jak on pienknie nadymał dolnom wargem.

Sindbad: Wódz jak Castro ma gadane i kocha się słuchać.

Zarazwracam: Leśne Ruchadkelo pewnie nie odpisuje i Nazcelnemu Wódzowi wargę wisi.

st1111: Ja byłem na paradzie gajów.

Zritah: Znaczy u Szyszki?

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE” i Facebooka



W przeciwieństwie do Cyganki, piłkarz prawdy ci nie powie.

Nie tylko politycy uważają, że najlepszym, a w każdym razie najwygodniejszym sposobem komunikowania się z ludźmi jest organizowanie konferencji prasowych. W sporcie takie konferencje zwołuje się nie tylko przed, ale też po każdych ważnych zawodach. Udział w nich jest obowiązkowy, a nieobecność karana finansowo.

Organizatorzy wyznaczają tych, którzy mają zasiąść przed kamerami i mikrofonami. Zazwyczaj jest to trener i jeden, bądź więcej zawodników. Dziennikarze posłusznie przychodzą na te imprezy, choć rzadko słyszą tam coś interesującego. Można z góry założyć, że przed zawodami sportowiec powie: „Dam z siebie wszystko”, a trener nie zapomni wspomnieć o szacunku do rywali, choćby nawet żadnego szacunku nie odczuwał.

Ferguson

Menedżer Manchesteru United Alex Ferguson, zdobywca z drużyną 49 trofeów, co czyni go najbardziej utytułowanym szkoleniowcem w historii futbolu, nie tylko otrzymał od królowej tytuł szlachecki i uzyskał zupełnie wyjątkowy w tej dyscyplinie sportu przywilej ustalenia samemu daty odejścia z klubu na emeryturę (po ponad 20 latach pracy), mógł także opuszczać konferencje prasowe, a jeśli się na nich pojawiał – często obrażał dziennikarzy, bo nie znosi tej profesji.

Teodorczyk

Polski napastnik Łukasz Teodorczyk ma tak głęboki uraz do wypowiedzi dla mediów, że być może jakiś student psychologii napisze o tym pracę magisterską. W ogóle nie rozmawia z dziennikarzami. W Brukseli, gdzie gra dla tamtejszego Anderlechtu, raz udzielił wywiadu, i to zastrzegając na wstępie, że robi wyjątek na prośbę Włodzimierza Lubańskiego, najwybitniejszego polskiego piłkarza w historii. I oczywiście nie powiedział niczego ciekawego.

Teodorczyk nie ma jednak takiej pozycji w futbolu, żeby mógł, jak Ferguson, bezkarnie omijać konferencje prasowe. Podczas zgrupowania reprezentacji Polski w Warszawie trener i zespół wyznaczali go, obok kilku kolegów, do tego zadania. Przyjść musiał, nie miał jednak ochoty odpowiadać na pytania, milczał wpatrzony gdzieś daleko przed siebie, w końcu zaczął mówić za niego siedzący obok bramkarz Wojciech Szczęsny. Zdaniem wielu obserwatorów był to najciekawszy moment tej konferencji prasowej.

Murinho

Sporo ożywienia wnosi czasem na spotkania z mediami nazywający sam siebie „The Special One” obecny szkoleniowiec Manchesteru United José Mourinho. Lubi krytykować nie tylko sędziów czy trenerów rywali. Łamię niepisaną zasadę, że podczas tych medialnych spędów nigdy nie mówi się źle o swoich zawodnikach. Tymczasem Mourinho uważa, że taka publiczna krytyka może mobilizować piłkarza. Ostatnio wziął się na obrońcę Luke’a Shawa, było nie było reprezentanta Anglii. Długo nie wypuszczał go na boisko, twierdząc publicznie, że jest słaby i za mało trenuje. Gdy Shaw w końcu zagrał – i to bardzo dobrze – dziennikarze przypomnieli trenerowi jego słowa. „Po boisku biegały tylko nogi Luke’a” – odpowiedział niezrażony Mourinho. – „Mózg był mój”.

Bilić

Zdarza się, że senną atmosferę sali konferencyjnej przerwie przypadkowa zabawna wypowiedź. Nie tak dawno rozmieszył przedstawicieli mediów trener West Ham United Slaven Bilić, który na pytanie, dlaczego jego drużyna grała słabo i przegrała mecz, rozłożył bezradnie ręce i szczerze odpowiedział: „Moi zawodnicy mają kłopot wówczas, gdy są przy piłce...”. Przypomniało się równie odkrywcze zdanie Kazimierza Górskiego tłumaczącego dziennikarzom, że im dłużej jest przy futbolowce jego drużyna, tym krócej są przy niej rywale. Tyle że było to w czasach, gdy konferencje prasowe nie stały się jeszcze tak nudnymi obrządkami, jak składanie wieńców pod pomnikiem.



Ilustr.: WŁODEK KIERUS

Ci, co kopią i gadają

Berczyński

Nowa rzeczniczka MON mjr Anna Pędziół-Wójtowicz poprowadziła swoją pierwszą

konferencję prasową, podczas której wystąpił przewodniczący – już były – podkomisji do ponownego zbadania wypadku lotniczego pod Smoleńskiem dr Wacław Berczyński.

Wybitny ekspert od śmigłowców stwierdził tylko, że zaprasza na kolejną konferencję, a pani rzecznik podziękowała przedstawicielom mediów za przybycie i nie odpowiedziała na żadne pytanie.

Wszystko trwało 97 sekund i dziennikarze orzekli, że była to najkrótsza konferencja prasowa w historii.

To kłamstwo, nie pierwsze zresztą i – należy się obawiać – nie ostatnie związane z obecnym kierownictwem MON. Była w historii krótsza konferencja prasowa, w dodatku obserwowana przez światowe media.

Cantona

Zwołał ją w 1995 r. piłkarz Manchesteru United Cantona Éric Cantona. Na stadionie Crystal Palace, ukarany przez sędziego napastnik Manchesteru United Cantona schodził do szatni ze-

gnamy gwiazdami i obelgami. Wówczas stało się coś niespotykanego. Nagle przeskoczył przez barierkę oddzielającą boisko od trybun i kopniakiem w stylu kung-fu uderzył jednego z kibiców. Zanim obezwładniły go służby, zdążył jeszcze parę razy przyłożyć mu pięścią. Wiadomość o wyczynie Francuza obiegła świat, a jedna z angielskich bulwarówek poświęciła wydarzeniu 14 stron w jednym numerze.

Incydent można zobaczyć na YouTube. Kiepskiej jakości filmik trwa zaledwie 47 sekund, ale zdążyły go obejrzeć grubo ponad 2 miliony internautów.

Cantona stanął przed sądem oskarżony o uszkodzenie ciała kibica. Wyrok 2 tygodnie bezwzględnej aresztu. W drugiej instancji areszt zamieniono na 150 godzin robót publicznych.

Na wychodzącego z sali sądowej piłkarza polawały setki dziennikarzy z wielu krajów. Cantona zacheł, aż kamery i mikrofony zostaną włączone, po czym wydał oświadczenie: „Za kutrem zawsze podążają mewy. Mają nadzieję, że rybacy wyrzucą do morza małe rybki”. Podobnie jak nasza umundurowana rzeczniczka MON, nie odpowiadała na żadne pytania, wsiał do oczekującego samochodu i odjechał.

Kubiak

Oczywiście konferencje prasowe, które są później omawiane i komentowane, nie zdarzają się tylko w futbolu. Do wymiany zdań wykraczającej poza rutynowe wypowiedzi na obowiązkowych konferencjach doszło po meczu Polska – Iran (3:2) podczas turnieju olimpijskiego w Rio de Janeiro. Pod siatką ostro starli się zawodnicy. Jeden z irańskich dziennikarzy zapytał później, dlaczego Polacy tak bardzo nienawidzą Iranu. „My kochamy irański zespół i w ten sposób okazujemy mu swoją miłość” – wyjaśnił kapitan polskiej reprezentacji Michał Kubiak, czynny uczestnik zamieszania na parkiecie, czym raczej nie uspokoił atmosfery. Uspokoić próbował ją trener Polaków Stéphane Antiga, apelując do dziennikarzy, żeby nie zajmowali się

głupotami, tylko siatkówką. Słowo „głupoty” nie wszystkim się spodobało.

Kyrgios

Swego czasu australijski tenisista Nicholas Kyrgios podczas turnieju Masters w Szanghaju lekceważył rywala, nie chciał mu się biegać za piłką, w końcu obraził widzów, którzy, zniesmaczeni jego postawą, zaczęli głośno wyrażać niezadowolenie. Podczas konferencji prasowej po meczu dziennikarz zapytał go o sprzeczkę z kibicami. „Ani im, ani tobie nie jestem nic winny. Jak się komuś nie podoba moja gra, niech nie kupuje biletu i nie przychodzi na mecz. To wasz wybór” – stwierdził Kyrgios i dodał, że on spać będzie spokojnie. Stowarzyszenie ATP ukarało go za ten występ grzywną w wysokości 16,5 tys. dolarów, co biorąc pod uwagę zarobki tenisistów zapewne rzeczywiście nie zakłóciło mu snu.

Chisora

W boksie zawodowym utarczki między rywalami podczas konferencji prasowych są czymś tak zwyczajnym, że często zachodzi podejrzenie, iż specjalnie się je reżyseruje, aby podnieść atrakcyjność spotkania. Nikt nie robi z tego sensacji, choć wspólny występ przed walką Dereck Chisora – Dillan Whyte wniósł pewne ożywienie. Chisora nie tylko słownie zaatakował rywala, ale rzucił w niego stołem. Na wszelki wypadek zdecydowano, że ceremonia oficjalnego ważenia przed walką zorganizowana zostanie osobno dla każdego z bokserów. Ublizać sobie mogą, a nawet powinni, ale bić mają się dopiero na ringu – za to dostają pieniądze.

Zazwyczaj jednak nie wiadomo, po co organizuje się konferencje prasowe. Nie tylko z góry wiadomo co kto powie, ale także co kto napisze. Wyjątek mogłaby stanowić konferencja na której Cristiano Ronaldo stwierdziłby, że znudziło mu się bieganie za piłką, bo zarobił już wystarczająco dużo pieniędzy.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
w.mittelstaedt@op.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – redaktor naczelny,
Przemysław Cwikliński, Waldemar Kuchanny, Andrzej Rozenek (zastępcy red. naczelny),
Mateusz Cieślak, Małgorzata Daniszewska, Bożena Dunat, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Maciej Mikołajczyk, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wołk-Laniewska.
Krzysztof Olejnik, Włodek Kierus (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-789 Warszawa, ul. Słoneczna 25,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
<http://www.nie.com.pl> – także prenumerata internetowa.
E-MAIL NIE@redakcja.nie.com.pl

Współpraca: „Daniszewska i córka s.c.”

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiestacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpas.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 0-801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl
lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7⁰⁰– 17⁰⁰.
(koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerataz@ruch.com.pl

Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc.,
3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont.,
L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Prenumerata elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl
1 numer – 3 PLN, 5 wydań – 15 PLN, 13 wydań – 39 PLN, 26 wydań – 78 PLN, 52 wydania – 156 PLN

Numer zamknięto: str. 1-16 – 10.05.2017 r.



Przemówienie prezydenta Andrzeja Dudy wygłoszone 3 maja 2017 r. (fragment):

„Szanowni państwo, mam dzisiaj kolejne dziesięciolecie małżeńskich doświadczeń. Te moje doświadczenia w małżeństwie, w którym różnie bywało, zdobywam. Mam doświadczenie okresu narzeczeństwa i mam doświadczenie ślubu w 1994 roku, którego w tym roku wybijają 23 lata obowiązywania. I czas na poważną debatę małżeńską, co jako prezydent Rzeczypospolitej chcę z całą mocą powiedzieć. Na debatę małżeńską przede wszystkim z udziałem polskiego narodu, z udziałem dojrzałego polskiego społeczeństwa. Nie tylko z udziałem elit i nie tylko z udziałem polityków. Chcę to bardzo mocno zaakcentować.

W moim przekonaniu, jako prezydenta, moi rodacy mają prawo się wypowiedzieć, czy moje małżeństwo, trwające w Polsce od 23 lat, funkcjonuje dobrze, czy są zadowoleni z tego modelu małżeństwa, czy też wymaga on zmian; a Polska i Polacy zasługują na moją nową żonę. Czas rozpocząć tę ważną debatę, czas rozpocząć tę debatę w 23-lecie mojego starego małżeństwa, czas rozpocząć tę debatę na rok przed setną rocznicą odzyskania niepodległości.

Mamy już ustawę o narodowych obchodach stulecia odzyskania niepodległości przez Rzeczypospolitą Polską. Będziemy się przygotowywać do tej wielkiej i świętej, wierzę w to głęboko, dla całego naszego narodu i naszego państwa rocznicy. Ale uważam, że w tym właśnie roku, w roku 100-lecia, w roku 2018, naród polski powinien się wypowiedzieć co do przyszłości małżeństwa głowy swojego państwa. Powinien się wypowiedzieć co do tego, jakich kierunków małżeńskich w przyszłości chce. Jakiej chce roli prezydenta Rzeczypospolitej, jakiej chce roli jego starej małżonki, a także

jego córki, jakie moje prawa małżeńskie muszą być mocniej akcentowane i jakie wolności. Ze małżeństwo prezydenta Rzeczypospolitej powinno być związkiem, w którym wszyscy są absolutnie wobec prawa równi, w którym nie ma żadnych bezpodstawnych uprzywilejowań, gdzie ma żadnych lepszych kast małżonków, w którym wszystkie strony mają prawo do wolności.

To jest zadanie, które w moim przekonaniu, jako prezydenta, musi być spełnione. Oczywiście jest w moim związku wiele podziałów, bo moje małżeństwo jest związkiem opartym na wolności i jest w związku z tym wiele poglądów, i dobrze, że one są, bo gdyby ich nie było, to by znaczyło, że małżeństwem wolnym nie jesteśmy. Ale wierzę w to, że to jest przedsięwzięcie, które jesteśmy w stanie jako naród przeprowadzić ponad podziałami, jako prezydent chcę razem z moimi rodakami to przedsięwzięcie przeprowadzić. Chcę, żeby w tej sprawie, w sprawie mojej nowej żony odbyło się w naszym kraju, w przyszłym roku, w roku 100-lecia niepodległości, referendum. I chcę, tak jak powiedziałem, żebyśmy odbyli w tej sprawie poważną debatę.

Wierzę w to, że taką nową żonę, która nie będzie miała wad i przywar starej, jesteśmy w stanie jako społeczeństwo znaleźć i że będzie to żona na miarę mojej prezydentury, że będzie to żona na miarę wolnego małżeństwa. Małżeństwa, które stanie się związkiem coraz silniejszym, i które, wierzę w to głęboko, będzie odgrywało coraz większe znaczenie. Zasługuję na to ze względu na moją wielkość, ze względu na mój potencjał, a przede wszystkim ze względu na potencjał nas, Polaków.

Dziękuję bardzo”.

Zanotował

PRZEMYSŁAW CÍWIKLIŃSKI
pcwikla@redakcja.nie.com.pl

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



by blagier Urban

Świętego Jeremiasza

Przeczekaliśmy jakoś państwowe obchody dnia flagi, 3 Maja i 80-lecia urodzin Jana Pietrzaka. Prezeska Rady Ministrów Beata Szydło: „To wyróżnienie i zaszczyt, że mogę stać na scenie obok mistrza. To, że – jak raczył mistrz jubilat powiedzieć – jest dzisiaj rząd Prawa i Sprawiedliwości, rząd, który zmienia Polskę, to jest przede wszystkim również zasługa takich ludzi jak Jan Pietrzak”. Zgadza się z panią broszką, że jej rząd to utwór satyryczny. Pietrzakowi zaś życzę, żeby odszedł później niż ten rząd, chyba że zależy mu na lokalu w Alei Zasłużonych na Powązkach.

Świętej Bernadety

Niższą rangę miały pisowskie obchody 1 Maja. Przyjęły postać ślubu zastępczyni Sakiewicza, Katarzyny Gójskiej-Hejke, prawie wdowy smołńskiej, z wysokim przystojnym facetem w uniformie kierownika sali restauracyjnej. Nie przybyli Kaczyński, Szydło ani nawet Duda. Sakiewicz życzył łask bożych, ale te, jak wiadomo, na pstryku koniu jeżdżą.

Świętego Bazylego

Znany mi, tysemu, z przekonującej reklamy szamponów pan Robert Lewandowski ogłosił i przekazał tym razem za darmo, że żona urodziła dziecko. Z tej okazji publicznie pochwalił ją za dzielność. Nie bardzo rozumiem, bo ciężarna, która nie zrobiła skrobanki, nie ma wyboru – wtedy już musi rodzić, nawet gdy jest tchórzliwa.

Świętego Rudolfa

W polskich telewizjach francuską debatę przedwyborczą kandydatów przykryło posiedzenie w londyńskim pałacu jakichś mumii z ZUS-u rodziny królewskiej. Uchwalono zgodę na to, żeby książę Edynburga Filip zrezygnował z pełnego etatu małżon-

ka i z nowym rokiem szkolnym pracował już tylko na zlecenie. Aktem tym w Wielkiej Brytanii wiek emerytalny dla ciężko pracujących obniżono do 96. roku życia. Tymczasem w Polsce PiS obniży ten wiek do 60 lat. Więcej ma synek Filipa imieniem och Karol.

Świętego Rufina

Azor odmówił korzystania z menu dla psów i przeszedł na wyżywienie dla kotów. Uczy się też miauczeć. Sprawcą ukocenia pudła jest Daniszewska, która nie sypia z psami, lecz tylko z ludźmi i kotami.

Świętego Apoloniusza

Tygodnik „Gazeta Polska” wspomina słynne słowa ministra Józefa Becka z maja 1939 r., że nie będzie pokonano Polskę za wszelką cenę, gdyż bezcenny jest tylko honor. Takie górnolotne frazesy Polacy wtedy kochali, zanim dostali w dupę. Opowiadając o Becku, autor Andrzej Wroński twierdzi, że minister przez honor rozumiał m.in. dbanie o suwerenność i nienaruszalność terytorium Rzeczypospolitej. No to Beck szybko stracił honor. Osobliwe, że laurka ta ozdobiła jest fotografią Becka z jego francuskim odpowiednikiem ministrem Pierrem Lavalem. Ten wkrótce został premierem w Vichy i silniej niż marszałek Pétain kolaborował z Hitlerem. Wpadka. Polityka historyczna Sakiewicza podpowiadałaby mu raczej zdjęcie Becka z cylindrem niż Lavalem.

Świętego Czesława

Na wszystkich czterech kondygnacjach budynku redakcji „NIE” zawiesiłem napis: „Cokolwiek palicie, proszę starannie gasić niedopałki”. Była to reakcja na wiadomość o znacznym powiększeniu korpusu generałów straży pożarnej. Ich wężyki nie przewodzą wody, a ogień nie słucha ko-

mend. W razie pożaru nie będzie miał więc kto go gasić.

Świętego Anzelma

Daniel Olbrychski z estrady manifestacji o wolność zacytował fragment modlitwy z „Kwiatów polskich” Juliana Tuwima: „...niech prawo zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość sprawiedliwość”. Podobno minister Anna Zalewska nakaze szkołom zmianę pisowni tych wersów. Odrą ma być: „...niech prawo zawsze Prawo znaczy i sprawiedliwość Sprawiedliwość”.

Świętej Kai

Sobotnia manifestacja przeciw rządowi PiS, odbyta w Warszawie, zakończyła się na placu Konstytucji nazywanym tak na cześć i z powodu uchwalenia konstytucji 1952 r. Zniosła ona RP i ustanowiła PRL, zatem wtedy siedłem tam w radosnym pochodzie, niosąc czerwony sztandar unii internacjonalistów. Po 65 latach reporter TVN zagadnął starszą uczestniczkę, czy dlatego chodzi, że chodzi jej o przywrócenie wolności. Odparła, że tak, raz już ją odzyskała – w 1945 r. Reporter politycznej poprawności sprostował wypowiedź: „Chciała pani powiedzieć 1989 rok”. Kobieta uparła się przy swoim czterdziestym piątym. Za nią nadchodziła rocznica zakończenia II wojny światowej w Europie.

Świętej Leonii

Kurwa mać, ja to pierdołę, w najbliższej rodzinie mam złamaną rękę. Lewą oczywiście, bo wszyscy mamy dwie lewe ręce. Miliony posklejanych w rodziny ma niezłomne kończyny, a akurat w mojej złamała się lewica. Podobno kość strzałkowa na trzeźwo spadała ze schodów. Aż tak wierzący to ja nie jestem.

sekr@redakcja.nie.com.pl

TAJEMNICA RZECZNIKA MAGIEROWSKIEGO

